

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 25 maja 1947 r.

Nr 21 (78)

TREŚĆ NUMERU: St. K. Rostworowski — Depresje o przeobrażeniach cywilizacji, St. P. — Na widowni, St. E. Bury — Trzy sierpień, W. Kieszkowska — Patriotyzm, niezaradność, bezbronność, Z. L. Stroński — Czy kryzys? St. Podlewski — Przemarsz przez piekło, Z. Jakimiak — Czytając prasę angielską... Nik Rostworowski — Ostatnia szansa, a.j.k. Polowanie na rekiny, W natarciu — Krytyk i geografia, Szeroki horyzont — Wszystkiego potrochu.

Stefan Rieniewicz

KOMPLEKSY

Równo 30 lat temu, na schyłku pierwszej wojny światowej, toczyła się wśród historyków polskich wielka dyskusja na temat przyczyn upadku Polski i rozbiorów. Odbudowa naszej państwowości już była wtedy na porządku dziennym; naród oczekiwał zmazania krzywdy rozbiorowej, a historycy, jako najbardziej powołani sędziowie zbrali się, ażeby przypomnieć raz jeszcze Polsce i światu okoliczności samego faktu rozbiorów, ustalić odpowiedzialności i wskazać winowajców. W cyklu 10 odczytów publicznych, wygłoszonych w Krakowie w kwietniu 1917 roku, zabrali głos najlepsi znawcy przedmiotu, m. in. Romer, Halecki, Bujak, Kutrzeba, Konopczyński, Tokarz — i nawiązali kolejno przyczyny upadku Polski od strony zjawisk geograficznych, gospodarczych, ustrojowych, z uwzględnieniem stosunków politycznych, wyznaniowych i kulturalnych Polski ówczesnej. Niezależnie od poważnego i naukowego charakteru tych prelekcji łatwo zrozumieć, że w ówczesnych warunkach musiały one mieć zabarwienie propagandowe: szło o dowód, że Polska w XVIII wieku miała warunki istnienia i rozwoju, że ułomności jej nie były śmiertelne, a tylko źli sąsiedzi przyśpieszyli jej ówczesny upadek.

Szersza opinia polska w tych latach, pełnych nadziei, podchwyciła skwapliwie głos mężów nauki. Naród, kołysany marzeniem o rychłym odzyskaniu najdalejszych naszych granic na zachodzie i wschodzie, widział w klęsce trzech cesarzy słuszną karę za grzech rozbiorowy, a tym samym przyjmował, że Polska była w zjawisku tym niewinną ofiarą. Skrajnym wyrazem tych nastrojów stała się głośna książka Antoniego Chołoniewskiego p. t. „Duch dziejów Polski“. W publicystycznym ujęciu, bez wielkiej troski o ścisłość faktów, była to romantyczna apologia przeszłości narodu: Polska, najdoskonalsze wcielenie chrześcijańskich za sad wolności i sprawiedliwości, upadła dlatego właśnie, że wyprzedzała w cnocie ówczesną Europę. Poważany historyk, prof. Konopczyński, dotknął się tej sprawy w inauguracyjnym wykładzie na Uniwersytecie Jagellońskim w styczniu 1918 roku. Odczytał się, rzecz jasna, stanowczo od naciągniętych koncepcji Chołoniewskiego, ale mimo wszystko, przyznał jego książce doniosłą wartość pedagogiczną; sądził, że w młodych sercach będzie ona budziła miłość Ojczyzny i tradycyjnych jej ideałów. Obruszył się na takie postawienie sprawy sędziwy przedstawiciel „szkoły krakowskiej, Bobrzyński, ten, który na 40 lat przed tym za wyrokował, że nie obca przemoc, ale własne przewiny doprowadziły nas do upadku. W odpowiedzi Konopczyńskiemu Bobrzyński protestował przeciwko stosowaniu podwójnej miary do prawdy historycznej: innej dla młodych, innej dla dojrzałych, ostrzegając przed „optymizmem“ w wykładni naszych dziejów i wracał do własnej tezy o odpowiedzialności narodu za rozbiory.

Dyskusja urwała się i przestano do niej powracać. Problem rozbiorów stracił na wadze w odzyskanym państwie. Fachowcy od historii XVIII wieku wytyczyli wza-

stali bawić się ocenianiem, który z nich był naistotniejszym. Dopiero w 1935 r. Olgierd Górka odnowił w sposób bardziej jeszcze krańcowy tezę Bobrzyńskiego. Naród, twierdził, jest sam kowalem swoich losów: z własnej winy upadł w XVIII wieku, własną zasługą odzyskał wolność w XX-tym i dobił się mocnego stanowiska w świecie, pomimo złych sąsiadów i złych granic... Historycy uchylili się wtedy od podjęcia na ten temat dyskusji, a potem przysłała wojna i ze słów Górki kazała wyciągać nieoczekiwane konsekwencje.

Przypominam te dawne i zapomniane spory, ponieważ dzisiaj odzywają się one w nieco odmiennych postaci. Dzisiejsze nastroje nie bardzo przypominają rok 1919: wówczas zdawało się nam, że należymy do panów świata, gdy dziś mamy poczucie mieszkańców kraju zrujnowanego, a za to jesteśmy bogatsi o kilka dodatkowych doświadczeń. Ale dziś jeszcze bardziej, niż wtedy, rozumiemy, żeśmy wkroczyli w nowy okres dziejów; dlatego instynktownie staramy się wyznaczyć miejsce naszego narodu w świecie i wyrozumieć sens kolejnych jego wzniołości i upadków. Dziś, jak i wtedy, odzywają się głosy w stylu Chołoniewskiego, sławiące naszą doskonałość i szlachetność, a z drugiej strony także słowa krytyki, nawołujące nas do trzeźwiejszej oceny naszych przewinień i zasług.

Przykładem kierunku samouwielbienia w naszej publicystyce służyć może artykuł Jerzego Brauna p. t. „Polski ideał państwa chrześcijańskiego“ („Tyg. Warszawski“).

szawski“ Nr 18). Czytamy w nim, że chrześcijaństwo zaszczerpione zostało w Polsce na podłożu znacznie bardziej pierwotnym, niż gdziekolwiek indziej w Europie, że dzięki temu Polska najwytrwalej dążyła do wcielenia zasad chrześcijańskich w życie zbiorowym. Ona pierwsza przekształciła się „z feudalnego państwa dynastycznego w jednolite państwo narodowe“, ona zrealizowała „monarchię chłopską Kazimierza Wielkiego“ i „monumentalne wersety Uniwersytetu Połanieckiego“. — „Szlachecka monarchia klasowa“ była w 16 — 18 w. „jedyną możliwą wówczas formą państwa narodowego“. Zepsuta za czasów saskich, Polska zrehabilitowała się za Stanisława Augusta, a potem dała światu w poezji mesjanicznej „próbę sformułowania... przyszłej, urzeczywistnionej cywilizacji chrześcijańskiej“. — „Żyjąc w świecie rozsądku i statystyki, konkluduje Braun, w którym bożyszczem jest siła Polska nie zasymilowała się z nim ideowo, zachowała swój własny sposób myślenia, nie liczyła się z determinizmem praw materii i oczywiście ponosić musiała klęskę za klęską. Oto uproszczone wytłumaczenie polskiej naiwności politycznej. Jednakże w dobie, gdy świat dochodzi do groźby samozniszczenia w wyniku swej jednostronnej religii siły, polski ideał moralno-polityczny staje się dla całej demokratycznej ludzkości hamletowym „być — albo nie być“.

Pozostawmy tę historiozofię i przejdźmy do praktycznych wskazówek historyka specjalisty. Pierwszy numer „Dziejów Najnowszych“, kwartalnika wydawanego przez Instytut Pamięci Narodowej, otwiera się frapującym artykułem d-ra Henry-

ka Werszyckiego p. t. „O problematykę najnowszej historii polskiej“. W latach niewoli, pisze Werszycki, dla historyków naszych najważniejszym był problem rozbiorów. W 1918 r. okres niewoli wydał się nam zjawiskiem przejściowym, a na plan pierwszy wysunął się problem walki o niepodległość i odzyskanie państwa. Dziś wszystko to ulec musi nowemu przeobrażeniu. Druga wojna nauczyła nas, że są najrozmaitszego rodzaju niepodległości. Nie byliśmy naprawdę niepodlegli za Sasów i Stanisława Augusta; za to lata 1807—30 nie były okresem całkowitej niewoli. Wreszcie i nasza mocarstwowość okresu 20-lecia w znacznej mierze byłałudzeniem. Słowem: „Polska od początku XVIII wieku oscyluje między niezależnością, a niewolą“. Tym samym fakt przejściowej utraty, lub odzyskania państwa nie powinien być uważany za centralny punkt naszych dziejów. — „Nie da się wobec naszych doświadczeń utrzymać teza, że głównym czynnikiem w obu procesach (rozbioru i odrodzenia) była wola niepodległości, lub jej brak u większości narodu“. Ta wola niepodległości nie nam nie pomogła w 1939, zaś w 1918 i znowu w 1945 odzyskaliśmy niepodległość równocześnie i w tych samych warunkach, co 10 innych narodów europejskich, w wyniku procesów od nas niezależnych. „Nie wolno z góry ulegać... mitowi wyjątkowości losów polskich“. Nasze dzieje są tylko fragmentem dziejów Europy środkowej i wschodniej, a „polska odrębność jest tylko pozorna; może zrodziła się tylko w świadomości inteligencji polskiej, nie mogącej nadążyć za gwałtownymi przemianami, którym ulega naród w ogólnodziejowym przewrocie“.

Jak mamy ustosunkować się do tych dwu wypowiedzi tak krańcowo sprzecznych? Łatwiej nam oczywiście rozprawić się z historiozofią. W artykule p. Brauna są rzeczy słuszne: podstawowa rola chrześcijaństwa w kształtowaniu się kultury polskiej, znaczenie mesjanizmu polskiego dla budzących się narodowości środkowej Europy. Ale idealizacja naszych dziejów jest przesunięta grubo za daleko. Do autora, jako do publicysty trudno mieć pretensję, że przesłizguje się nad całymi epokami i grupami zagadnień, jeżeli nie pasują do jego apriorycznej koncepcji. Trudno się jednak nie zastrzec przeciwko publicystycznemu właśnie wnioskowi końcowemu: jeśli poniosłszy klęskę, mamy pouczać świat, żeby się uczył od nas „naiwności politycznej“, to można wątpić, czy nasz apel spotka się z posłuchem; za to nas samych pozbawić może jedyne dorobku, jaki powinni byliśmy wynieść z przegranej: doświadczenia.

To doświadczenie przemawia za to przez usta d-ra Werszyckiego. Teza jego jest krańcowym przejawem tej fali sceptycznego realizmu, który ogarnął nas po załamaniu się wszystkich naszych heroiczych wysiłków. Przeżyliśmy coś podobnego po roku 1863, tylko że wtedy wysnuwaliśmy z klęski wprost przeciwne niż dzisiaj, horoskopy. „Szkoła krakowska-

Wytyczne

ZIELONE ŚWIĄTKI

W katolicyzmie współczesnym mało jest znany i rozwinięty kult Ducha Świętego.

Inaczej było w średnio-wieczu: były dni, w których oczekiwano nadejścia ery Trzeciej Osoby Trójcy Świętej. Marzenia Gioachimo da Fiori odzywają się jeszcze echem w książkach Bloy'a

Nie chodzi, naturalnie, aby powracać do tych rojeń. Cała doba chrześcijańska jest w równym stopniu dobą całej Trójcy Świętej. Nie sposób jest jednak oprzeć się wrażeniu, że są lata, w których bardziej niż w innych potrzebujemy pomocy Ducha Świętego. Nie sposób jest także nie wiedzieć, że teraz właśnie weszliśmy w ten czas posuchy i oczekiwania na siedem Jego darów.

Bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy mądrości, rozumu i umiejętności, by móc odnaleźć Prawdę wśród tak bardzo splecionych spraw dnia codziennego.

Potrzebujemy rady, by uniknąć pokusy zbłąkania, która bardziej niż kiedykolwiek na nas czyha. Potrzebujemy męstwa, bo wrogów mamy i daleko i blisko. Potrzebujemy wreszcie pobożności i bojaźni Bożej bo tylko one ocalić nas mogą w chwilach, gdy przychodzi nam samotnie iść naszą drogą.

Dary Ducha Św. są niby ogień — dobroczynny i palący. Dają zwycięstwo. Lecz ich nadużycie strąca w przepaść bez dna.

O dary Ducha Świętego możemy tylko prosić. Więc o nie prosimy Tą przede wszystkim, która Niepokalanie Poczęta pełnię ich otrzymała.

Dni 19/02

W świetle...

KRYZYS FRANCUSKI I WŁOSKI

Rozwój sytuacji wewnętrznej większości krajów europejskich jest nadal w dużym stopniu funkcją sytuacji międzynarodowej i rozgrywek wielkiej trójki, a właściwie dziś już wielkiej dwójki. Fiasko konferencji moskiewskiej jest niewątpliwie jedną z pierwszych przyczyn kryzysów politycznych Francji i Włoch. Podstawową tezę polityki zagranicznej Bidault i MRP, jak też Ramadiera i francuskich socjalistów było zachowanie przez Francję postawy łączącej świat anglo-saski ze światem rosyjskim. Teza ta przeżywa w tej chwili swój kryzys i usłupienie komunistów z rządu, aczkolwiek spowodowane bezpośrednio różnicą poglądów z pozostałą koalicją rządową na sprawę plac i polityki walutowej, ma swoje niewątpliwie źródło w sytuacji zewnętrznej. Kryzys też socjalistycznych i katolickiej MRP, zakończony powstaniem rządu bez udziału komunistów, może pociągnąć zgubne skutki tak dla Francji, jak i dalszego rozwoju sytuacji politycznej w Europie. Socjaliści i MRP, przyjmując tezy prawicy i de Gaulle'a, wzmacniają tym samym pozycję tego ostatniego. Grozi równocześnie rozłam w łonie partii socjalistycznej i rozdarcie narodu francuskiego na dwa wrogi sobie bloki. Poważne trudności ekonomiczne sprzyjają rozwojowi nastrojów nienawiści i rozdrażnienia. Tylko dotychczas polityczna spójność może uchronić Francję od groźnych niebezpieczeństw.

Podobne tło ma niezakończony jeszcze kryzys włoski. Z tym, że położenie ekonomiczne Włoch jest jeszcze trudniejsze. Kraj ten żył z turystów i z przemysłu przeznaczanego dla turystów. Dzisiejsze czasy nie sprzyjają rozwojowi turystyki i po utracie kołoni Włochy zniszczone przez graną wojną są całkowicie zdane na pomoc zagraniczną, ściśle mówiąc, amerykańską. Amerykanie finansują stroniectwa anty-komunistyczne i nie udzielały pomocy gospodarczej rządowi lewicowemu. Pomoc, którą otrzymywał de Gasperi, była mała, wszystko nie wystarczająca, a okupujący Włochy żołnierze amerykańscy nie zdobyli sobie sympatii ludności. Ten fakt wzmacniał znowu ruchy lewicowe, co przy istnieniu we Włoszech sympatii faszystowskich pogłębiało rozdwojenie narodu. Obecnie de Gasperi chciał rozszerzyć rząd o elementy prawicowe i wzmacnić jego zaufanie w Ameryce. Partie robotnicze sprzeciwiają się temu, obawiając się neo-faszyzmu. Trudno dziś przewidzieć, czym kryzys się zakończy. Jedno jest jasne. Przyszłość rządów koalicyjnych we Francji i we Włoszech jest coraz bardziej problematyczna, a sytuacja komunistów coraz bardziej drażliwa.

SPRAWOZDANIE MIN. BEVINA

Twierając w Izbie Gmin debatę w sprawie polityki zagranicznej W. Brytanii min. Bevin złożył sprawozdanie z konferencji moskiewskiej i poruszył różne zagadnienia międzynarodowe, związane z tą sprawą. W przemówieniu min. Bevina nie było żadnych szczególnych rewelacji. Min. Bevin przypuszcza, że listopadowa konferencja w Londynie będzie najważniejszym wydarzeniem w historii świata i że przyniesie ona porozumienie. Uważa jednak, że droga do pełnego porozumienia jest długa i trudna. Ostrożny — jak zwykle u angielskich mężów stanu — ton przemówienia można uznać za wyraz pewnego optymizmu.

W sprawach polskich, niestety, Bevin dał wyraz wątpliwościom w ostateczności naszych granic zachodnich, zaznaczając jednocześnie, że stosunek jego do Polski zawsze był przyjazny i skoro tylko zauważył pewną możliwość zbliżenia między oboma narodami, natychmiast był gotów na wzięcie bliższe stosunki. Stosunki te w chwili obecnej są już znacznie lepsze niż dawniej.

Wydaje nam się, że w sprawie polskiej wypowiedź min. Bevina zawiera pewne sprzeczności.

RATYFIKACJA PAKTU PRZYJAZNI POLSKO-CZECHOSŁOWACKIEJ W PRADZE

Czechosłowackie Zgromadzenie Narodowe ratyfikowało w dniu 14 maja b. r. pakt przyjaźni polsko-czechosłowackiej, podpisany w Warszawie. Ratyfikacja paktu odbyła się w sposób szczególnie uroczysty, świadcząc o pełnym zrozumieniu przez Czechosłowaków znaczenia, jakie ten pakt posiada dla przyszłości obu narodów.

mówiła wtedy ustami Kalinki: „Upadku swego Polacy sami są sprawcami”, i wnioskuje stąd, że własnym wysiłkiem będziemy mogli się podnieść i odkupić. Gdy nastały szczęśliwsze czasy, podtrzymał tę doktrynę Górka, który mówił, że nasi dziadkowie zasłużyli sobie na rozbiór, a pokolenie legionowe zasłużyło na wolną Polskę i na własne w niej rządy. Dziś dr. Wereszycki mówi po nowej klęsce: i rozbiory, i odbudowa państwa i klęska wrześniowa, i rok 45-ty — wszystko to są zjawiska, na które nasze chcenie lub niechcenie nie miały istotnego wpływu.

Krytykę tego rodzaju stanowiska można podjąć w dwu różnych płaszczyznach: obiektywnej słuszności twierdzeń oraz ich wartości społecznej, ściślej — pedagogicznej. Nie występuję bynajmniej przeciw artykulemu dr. Wereszyckiego w całej jego osnowie; godzę się najskwapliwiej na jego konkluzję, że należy „silniejszy nacisk położyć na wszelkie momenty społeczne w naszych dziejach politycznych; w pewnym sensie bądźmy raczej historykami narodu, niż państwa; a równocześnie nie zapominajmy, że naród nasz i jego losy związane są jak najściślej z całym kontynentem europejskim, a szczególnie z naszym jego regionem”. Jest w tej rozprawie i więcej trafnych spostrzeżeń: np. to, że okresy niewoli niejednokrotnie bywały w naszych dziejach okresami dużo żywszego postępu gospodarczego i społecznego, aniżeli okresy pełnej niepodległości; albo też, że znaczenie roku 1918 w naszych dziejach polega m. in. na dokonanej wówczas zmianie stosunku narodu do problemu granic polskich. Ale nie mógłbym przystać na dwa główne twierdzenia: o naszej nieodpowiedzialności za własne losy i o „niewyjątkowo-

ści” naszych dziejów, gdyby autor chciał je traktować w sposób absolutny.

Z tego, że nie wywarłszy wielkiego wpływu na przebieg ostatniej wojny, nie musi koniecznie wynikać, żeśmy takiego wpływu nigdy w dziejach nie wywarli. Autor nie gorzej ode mnie zna liczne przykłady z okresu ostatnich lat dwustu, w których postawa Polaków zaważyła w określony sposób na biegu wypadków światowych. Można by zacytować insurrekcję kościuszkowską, powstanie listopadowe, rok 1920, a nawet — mimo wszystko — rok 1939. Można by także wskazać na rolę sprawy polskiej w XIX wieku, jako stałego wiązadła Świętego Przymierza. Jeśli idzie o wpływ na nasze własne losy, nie da się chyba zaprzeczyć, że takie fakty, jak niechęć szlachty do zniesienia liberum veto; albo przewaga orientacji francuskiej w dobie napoleońskiej; albo sobokstwo większości ziemian względem sprawy włościańskiej w pierwszej połowie ub. stulecia; albo solidarność społeczeństwa wielkopolskiego w walce z niemczyzną; albo przeważnie antyniemiecka postawa całej Polski w okresie pierwszej wojny światowej — aby te wszystkie zjawiska nie miały istotnego wpływu na późniejsze koleje naszych dziejów. Co zaś do kwestii, czy jesteśmy narodem „wyjątkowym”, czy nie, wszystko zależy od tego, jak mamy „wyjątkowość” pojmować. Rzecz jasna, że nie jesteśmy ani narodem cudownym, ani też żadnym monstrum. Żyliśmy w tej samej Europie, podlegałszy tym samym wpływom i procesom, co narody sąsiednie. To jednak nie zmienia faktu, że niektóre zjawiska naszych dziejów nie mają swoich odpowiedników we współczesnych dziejach środkowej Europy. Sam autor przy-

znaje, że sprawa „podziału i zjednoczenia Polski” nie ma „pełnej analogii” w obcej historii. Ale podobnie można by powiedzieć o wyjątkowym zwyrodnieniu polskiego życia politycznego w XVIII w., o wyjątkowej roli Wielkiej Emigracji, o specyficznej dla Polski orientacji antyrosyjskiej w ciągu stulecia po powstaniu listopadowym, o specyficznej również postawie polskich warstw posiadających wobec ruchów postępowych, o „sporze orientacji” polskich w dobie pierwszej wojny światowej. Tu także nie ma „pełnej analogii”; zresztą w historii każdego narodu dałoby się wysledzić podobne niepowtarzalne akcenty. Historyk ma obowiązek śledzić szerokie procesy, rządzące ewolucją całych kontynentów, ale uchybiłby swemu zadaniu, gdyby zamykał oczy na bogactwo i różnorodność osobowości ludzkich i form narodowych.

Tyle w obronie ścisłości naukowej; więcej dałoby się powiedzieć o pedagogicznej stronie zagadnienia, ale to już nie do mnie należy. Prawda to, że artykuł dr. Wereszyckiego pisany był w konkretnej i praktycznej sprawie, dla szczupłego grona fachowców. Nie byłoby pożądanym, ażeby szersza publiczność wyciągała zeń dalej idące wnioski. Kompleks niższości w polityce narodu może się stać doradcą równie niebezpiecznym, jak samouwielbienie; w danym wypadku mógłby prowadzić do tuszowania odpowiedzialności za nasze własne postępy. Bardziej może, iż dzisiejsza Polska niewiele znać na arenie świata; ale i z tego minimalnego zakresu swoich możliwości będzie kiedyś musiała zdać sprawę — „przed Bogiem i historią”.

Stefan Kieniewicz

Zagadnienia i poglądy

Co to znaczy „mecenat ludowy”

Przytaczając poniżej kilka uwag o krajoznawczej wystawie obrazów i sytuacji dzisiejszej malarstwa, chcemy wrócić do dyskutowanej w swoim czasie sprawy t. zw. mecenatu ludowego.

Upowszechnienie kultury, rozwój i przysplość sztuki są zagadnieniami wzbudzającymi dziś troskę i wątpliwość takie, jak w ogóle wszelkie myślenie o jutrze cywilizacyjnym współczesności. W publicystyce polskiej najgłębszym wyrazem niepokoju był głośny artykuł prof. Chałasińskiego „Problemy demokracji” w „Odrodzeniu”.

Poruszając zagadnienie sztuki, a przede wszystkim plastyki, nie mamy ambicji tych problemów rozwiązywać. Chodzi nam tylko o pokazanie, że niektóre próby i drogi wydają się błędne i nie prowadzą do celu.

Co to znaczy „mecenat ludowy”?

Wiemy, co znaczy mecenat — a co znaczy ludowy? W sensie negatywnym oznacza to, że nie arystokratyczny, ani nie burżuazyjny. W pozytywnym mogłoby oznaczać proletariacki, albo w szerszym zakresie powszechny. W ten sposób można by wyjaśnić teoretyczny sens tego zwrotu. Ale jaki to ma mieć wyraz praktyczny? Wiadomo bowiem, że we współczesnym świecie lud nie wypowiada się bezpośrednio, lecz za pośrednictwem od powiednich przedstawicieli. Otóż obserwując już trzeci rok „mecenat ludowy”, widać, że lud wpływa na los artysty i jego dzieł przy pomocy trzech czynników. Są to: Ministerstwo Kultury i Sztuki, inne instytucje państwowe lub społeczne, zakupujące (a więc tym samym i oceniające, obrazy i wreszcie Związek Zawodowy Plastyków.

Czy Ministerstwo Kultury i Sztuki może być mecenatem? Obawiamy się, że nie. Prawdziwym mecenasem może być tylko konkretny człowiek, a w jakimś szczególnie szczęśliwym wypadku grupa ludzi. Trzeba być przedziwnie szczęśliwym wypadku, aby tacy ludzie znaleźli się z kłucza partyjnego w charakterze urzędników państwowych właśnie w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Trudno budować mecenat w zależności od przypadku. Jest rzeczą oczywistą, że inne urzędy i instytucje państwowe jeszcze mniej mają szans odegrania roli mecenatu. Widziałem kiedyś, jak umundurowany przedstawiciel Ministerstwa Lasów poszukiwał obrazu koniecznie z motywem liściastych drzew. To bardzo dobrze, że Min. Lasów ma pieniądze za zakup zielonego obrazu, ale tego rodzaju popieranie malarzy nie ma nic wspólnego z mecenasowaniem. Przynajmniej dotychczas słowo to co innego oznaczało.

Może więc Zw. Zawodowy Plastyków mógłby być tym organem mecenatu ludowego, którego szukamy? Każdy, kto w jakimś stopniu stykał się z życiem sztuki, wie, że malarz zwykle nie może sądzić bezstronnie dzieł swego kolegi malarza, poeta poety, muzyk muzyka i t. d. Złym pomysłem okazały się różne domy literatów, czy plastyków. Artyści ludzie zwykle ambitni, szczególnie wrażliwi i drażliwi, lubią dzielić się na skłócone i zwalczające się na wzajem grupy i koterie. Zresztą jest to rzecz ogólnie znana i wielokrotnie opisywana.

Przyjrząwszy się pobieżnie powyższym organom woli ludu, stwierdzamy, że mit o mecenacie ludowym zaczyna się rozwiązywać. Zamiast mitu pozostaje szereg smutnych faktów. Taki np. fakt, że jeden z najlepszych polskich rzeźbiarzy Alfons Karny nie ma pracowni i nie ma z czego żyć. Za to instytucje urzędują, będą się pewnie upolityczniać i dopiero wtedy będziemy mieli fascynujące rezultaty.

Tym, co zarzucą tym wywodom zbyt ni pesymizm, lub reakcyjność, muszę powiedzieć szczerze: nie wierzę w mecenat ludowy. Wierzę w możliwość, a nawet w konieczność upowszechnienia sztuki, w intensywne podnoszenie poziomu kultury sztuki, w szukanie talentów nowych na wsi, czy w fabrykach i t. d. Ale prawdziwa sztuka jest, niestety, rzeczą talentu. Udziałem garstki wybranych jest tworzyć, udziałem przygotowanych jest ją rozumieć. Tak było zawsze we wszystkich ustrojach i czasach, nawet w tych, które pozostawiły po sobie najwspanialsze pomniki. Sztuka potrzebuje specjalnego klimatu i tworzenia i mecenasowania. Czy i jak ten klimat powstanie — nie wiemy. Napewno nie stworzy go frazes o mecenacie ludowym.

Zwiedzając wystawę krakowską przejeżdżaliśmy z największym zainteresowaniem katalog dzieł zakupionych. Nabywcami były instytucje państwowe i urzędy.

Mecenasami współczesnymi okazały się obok Ministerstwa Kultury i Sztuki, Państwowy Bank Rolny, Wojewódzka Rada Narodowa, Zw. Zaw. Metalowców, Stowarzyszenie Dozoru Kotłów i t. p., i t. p. Nie mamy złudzeń co do wyniku tego rodzaju mecenatu. Sztuka rodzi się z konieczności życia, świetność dworów średniowiecznych zrodziła się nie tylko z potrzeb wielopokoleniowej kultury, ale przede wszystkim z tak ważnych, a w polityce niezbędnych, względów prestiżowych, jako potężne akcesorium znaczenia i władzy.

Bogactwo najróżnorodniejszej współczesnej reklamy podyktowała konieczność szybkiego i obfitego zbytu towarów.

Jakaż jednak potrzeba skłoniła np. Państwowy Bank Rolny do zdobienia swoich ścian wątpliwą wartości polnami?

Zakres działalności Banku Rolnego reguluje Państwo drogą rozporządzeń i okólników; póki trwa jego wszechmoc, bank upaść nie może — zbędną jest mu więc usługa artystów. Natura ozdobiła roślinę kwieciami dla przywabienia zapyłających ją owadów; sklep wabi klienta barwnym szyldem i przepychem wystawy, w przeciwieństwie Bank Państwowy raczej zainteresowany jest w odpędzaniu roi natrętnych patentów. Jakie zainteresowanie może mieć zmieniający się co chwila, jak w kalejdoskopie, dyrektor banku, czy kierownik związku metalowców o zabawę w mecenasa? Gdzie zaś nie ma zainteresowania i ciągłości, nie może być i znawstwa — jakieś platoniczne upodobanie nie wystarczy dla poczynań wielkich i płodnych. Takim jest, niepisane, ale obowiązujące prawo życia. I nie pomogą tu nic jakieś wielogłowe, ad hoc zwołane komisje kwalifikacyjne, niczym nie związane z potrzebami instytucji. Lepiej byłoby przeto, gdyby idea anonimowego mecenatu instytucji państwowych rychło poniechaną została. Mecenasem może być li tylko nieskrępowany człowiek, działający we własnym interesie, z własnego popędu — nigdy anonim. Galwanizowanie tego, co obumiera, wypacza i rezultatów dać nie może.

Z tych względów nie podzielamy entuzjasmu niektórych pisarzy, którzy w tak przez siebie nazwanym „mecenacie ludowym” (co to ma z ludem wspólnego?) oczekują narodzin jakiejś wielkiej sztuki ludowej i nastania nowej wspaniałej ery jej rozkwitu.

Czy przeto malarstwo skazane jest na zanik, skoro, jak wykazaliśmy, t. zw. „mecenat ludowy” zawieszony musiał? Tego nie twierdzimy. Jedno jest pewne — będzie ono odpowiednikiem podłoża, z którego wyrosnie, a wyrosnąć będzie mogło wtedy dopiero, kiedy miną przewroty społeczne i polityczne i kiedy stosunki ulegną stabilizacji. Póki trwają kataklizmy geologiczne, żadna roślinność nie może pokryć kotłującej się ziemi. Dziś jeszcze zbyt mało posiadamy danych dla czy będzie to grunt żyzny, skała, czy diagnozy, jaka warstwa się utrzyma — piach sytki, dlatego przedwczesnym jest dociekanie, jakie urodzi nam kwiecie.

Warto jednak wspomnieć, że istniały w tok udziejów cywilizacji rejonalistycznej, oparte podobnie jak wiele państw współczesnych, na systemie urzędniczym. Cywilizacje te urosły z wszechwładzy państwa, którego ramieniem były niezliczone flumy urzędników. Cywilizacje tego typu, jak np. Cesarstwo bizantyńskie, dysponując całą potęgą skoncentrowanych w rękach rządu środków, sprzyjały rozwojowi raczej architektury niż malarstwa, które podobnie jak mozaika, służyło ozdobie wspaniałych niejednokrotnie budowli.

Stanisław Kostka Rostworowski

Dygresje o przeobrażeniach cywilizacji

Przeobraża się, wyrosła z gruzów Rzymu cywilizacja europejska, trwająca w różnych przejawach lat bez mała 1500.

Upadek jej na lat 100 naprzód dojrzał Zygmunt Krasinski w „Nieboskiej Komedii”. Nadejście przewrotów sygnalizował po nim Karol Marks. Zmierzech przewidywał Spengler („Der Untergang des Abendlandes”) i wielu innych.

Jednak świadomość przeobrażeń na wielką skalę, jakimi są przewroty cywilizacyjne nie łatwo dociera do ogółu. Nie wystarczył grzmot rewolucyjnej pieśni — „My nowy zaprowadzimy ład” — trzeba było uderzenia obuchem wojen światowych i walenia się w oczach tego, co było, by ludzie zrozumieli, że odmienne na świecie nastąpiły czasy.

Świadomość skończenia się dawnej ery staje się coraz bardziej powszechną, a wraz z tym nabierała krwi rozważania i dyskusje — „Gdzie jesteśmy i dokąd idziemy?”.

Przyczyną przewrotu jest coraz szybciej, od lat 150, postępujący rozwój techniki — zbudowała ona maszynę, a przy jej pomocy rozwiązała problem komunikacji, eksploatacji surowców i masowej produkcji dóbr.

Dla uchwycenia miary przewrotu warto przypomnieć, że podróż na żaglowcu „Castor i Polux” z Palestyny do Neapolu zajęła św. Pawłowi pół roku, podczas gdy lot na około świata trwa dziś niecałe 78 godzin!

Nowe metody gospodarze i wojenne rozsądziły panujący w różnych wariantach od setek lat w Europie — ustrój rodowy.

Pierwszej fazie rewolucji technicznej odpowiadał ustrój liberalno-kapitalistyczny, a jako formą polityczną stały się demokracje typu zachodnio-europejskiego z „Wolą ludu”, jako źródłem władzy, zamast monarchów „Z Bożej łaski”.

Znamieniem kapitalizmu jest sprzeczność. W poszczególnych przedsiębiorstwach panował ład wzorowy, podczas gdy brak skoordynowania ich działalności, rozdził anarchię, wstrząsającą świat, raz po raz paroksyzmem kryzysów. Zjawisko to było powodem łączenia się przedsięwzięć w trusty i kartele, dla regulowania produkcji i normowania cen. Kartele stworzyły monopol, a monopol jest zawsze pokusą do wyzysku. Dysproporcje cen narzuconych przez kartele hamowały rozwój gospodarczy krajów, konieczną więc stała się interwencja państwa.

Potęę państwa znakomicie wzmogły wynalazki, jak: samolot, tank, radio i prasa. Wynalazki te dały rządowi w rękę nieznaną dotychczas środki panowania i władzy.

Potęę rządów uległy kartele we wszystkich państwach przemysłowych. Rozpoczął się proces reglamentacji, bądź przejmowania produkcji przez państwo, które szybko upodabnia się do ogromnego przedsiębiorstwa.

Tak wybiła godzina państwowej gospodarki planowej.

Proces ten w niektórych krajach miał przebieg gwałtowny (ZSRR), w innych, jak np. w dzisiejszej Anglii czy Francji, ma tempo łagodne.

Przed etatyzacją życia gospodarczego bronią się, jak dotąd, Stany Zjednoczone A. P. Ich położenie jest wyjątkowe — dysponują ogromnymi, mało zaludnionymi, obfitującymi w surowce wszelakiego rodzaju, kontynentami obu Ameryk i rynkami całego niemal świata. Pomimo tego Roosevelt widział się zmuszonym szukać ratunku przed skutkami kryzysu (1929 r.) w reglamentacji — (New Deal), a potem — w zbrojeniach. Dziś wielu ekonomistów amerykańskich przewiduje konieczność wprowadzenia przez państwo gospodarki planowej.

Przewrót metod gospodarczych, które w kilku rzutach opisaliśmy, spowodował głębokie zmiany w człowieku. Państwo już w XIX wieku zmuszone było wprowadzić powszechny przymus nauczania dla wykształcenia armii robotniczej, która

by umiała conajmniej przeczytać instrukcję obchodzenia się z maszyną (F. Delaysi „Les Deux Europees”). Ale współczesne państwo — fabryka obsługiwana jest nie tylko przez rolnika i robotnika — rządzi ono przy pomocy tłumy urzędników, tej wielomilionowej, nieznannej do niedawna, warstwy społecznej. Warstwa ta jest produktem naszej epoki — nie znała jej Europa w tych rozmiarach, ód czasów upadku, zachodniego, a potem wschodniego, rzymskiego cesarstwa.

Powstanie w tak ogromnych rozmiarach warstwy urzędniczej nie wróży dobrze jakości cywilizacji epoki przemysłowej.

Państwo współczesne powstało z ducha fabryki. Fabryka jest wytworem nauki, nauką stoi — dlatego czasy dzisiejsze cechuje kult nauki i racjonalizmu. Fabryka musi być rządzona przez specja, jej logiką jest żelazna dyscyplina i posłuszeństwo. We wszystkich państwach przemysłowych dochodzić muszą i dochodzą do władzy grupy specjalistów, administrujących kluczowymi gałęziami gospodarstwa państwowego. Potęga formującej się nielicznej warstwy administratorów jest ogromna i bez precedensów.

Należałoby stworzyć do ich usług oddzielone wielkimi kompetencjami biuro studiów, rozpatrujących każdy problem, nie tylko od strony produkcji, ale od strony człowieka. Niech w biurze tym zasiada humaniści. Nie zawsze co najopłacańsze, bywa dobre. Wszeczmoc garstki specjalistów, uwzględniających jego ekonomiczny punkt widzenia, grozi człowiekowi zmiażdżeniem, podeptaniem jego przyrodzonych praw i godności i grozi mu powrotem niewolnictwa.

Bronić trzeba tych wolności, które są jeszcze do obronienia. Obronić można w ograniczonym koniecznością zakresie, suwerenność narodów i indywidualną wolność jednostek.

Własność prywatną, w wielu dziedzinach się utrzymać, choćby w formie zwięzłej, przez poddanie jej produkcji państwowej planowości.

Ważnym w szczególności jest utrzymanie indywidualnej własności rolnej, która sprzyja rozrodczości, a służy duchowemu i fizycznemu zdrowiu (Statystyki wykazują wymieranie ludności wielkomięskiej).

W wielu dziedzinach technika poszła w kierunku decentralizacji (we włókiennictwie np. zbudowano chałupnicze warszta-

ty elektryczne, mogące konkurować z wielkimi fabrykami) — należy bacznie śledzić za jej rozwojem i decentralizować te gałęzie przemysłu, które do tego dojrzały.

Przy wielkich fabrykach wypada stworzyć osiedla robotnicze, wyposażone w ogródki i własne domostwa. Nie bez znaczenia byłoby próby zorganizowania jak największej ilości fabryk, jako spółek robotniczych, z poddaniem ich wytwórczości planowej gospodarce państwa.

Ze względu na nowe metody wojenne (naloty, bomby rakietowe, atomowe i t. p.) wielkie centra miejskie i przemysłowe stają się groźnym anachronizmem.

Rewolucja techniczna rozbiła stare ośrodki niezależne i rozpyliła w puch społeczeństwo. Na placu zostały dwie potęgi — potężne państwo i potężny kościół.

Przed majestatem Objawienia skapitulowała nauka, odwołując Newtonowe prawo „do wieczności materii”.

Długoletni konflikt wiedzy przyrodniczej z nauką kościoła, będący źródłem wielu nieszczęść, rozstrzygnięty został w naszych oczach, z chwilą, gdy chemicy rozbili atom. Wielkie to, a brzmiące w skutki zdarzenie.

Kościół, który poprzez lat dwa tysiące okazał się niezwykłym, z wzmocnionym autorytetem występuje do boju o zbawienie dusz zagrożonych i o ratunek cywilizacji przez jej uchrześcjanienie.

Wiele umysłów zwraca się dziś ku historii w poszukiwaniu światła.

Wydaje się, że epoka nasza podobna jest okresowi narodzin cesarstwa rzymskiego.

Cesarstwo powstało po rozłożeniu się starorzzymskiego ustroju rodowego. Natura nie znośi próżni. Zdarzyło się że przyszedł, jakby się to dziś powiedziało „Człowiek lewicy” — Juliusz Cezar. Sięgnął on po władzę, jako dyktator dożywotni i nazwał się „imperator” (rozkażujący).

Cezar zachował pozory republikańskich form, które były raczej anachronizmem, skoro treść z nich uleciała. Tak Cezar, jak i jego następcy rządili autokratycznie, zmontowawszy, nieznaną dawniej, państwową organizację urzędniczą. Juliusz Cezar okazał się wielkim budowniczym, rzucając fundamenty, na których następcy jego zbudowali „Pax Romana”

— czyli polityczną jedność antyku. Dała ona starożytnym, niespotykany w dziejach, długi okres dwustoletniego pokoju. Nastała era wszechwładzy państwa, które podobnie jak dziś, acz w mniejszym zakresie, zreglamentowało życie. Reglamentacja ta była połowiczna, ponieważ państwo ówczesne nie miało do dyspozycji środków dzisiejszej techniki.

Rzym cesarski, wedle modnej dziś terminologii, był „państwem totalnym” — imperator, jako „pontifex maximus”, stał się jednocześnie głową pogańskiego kościoła, łącząc w swojej osobie najwyższą władzę świecką i duchowną.

Ośrodkiem niezależnym stało się zwycięskie w końcu chrześcijaństwo — przetworzyło ono po wiekowej walce świat starożytny, z której to syntezy powstała cywilizacja chrześcijańska.

Znamiennym jest, że „prosperity” (pomyślność) cesarstwa rzymskiego w wielkiej mierze zależała od tego, kto nim rządził — noc rychło następowała po dniu i odwrotnie. W czasach Nerona łała się krew, za panowania Nerwy, Trajana, Hadrijana, Antoniego Piusa i Marka Aurelego (96 — 180 po nar. Chr.) — nastąpiła tak zwana „srebrna epoka” cesarstwa, która podobną była blaskom, mającego się ku zachodowi, słońca.

Problem uczłowiczenia państwa, tak żywy w epoce imperatorów, nabrał w dzisiejszych czasach na ostrości, ponieważ państwo współczesne dysponując zdobyciami techniki, władne jest dotrzeć do każdego ziemskiego zakątka i „totalnie” zreglamentować życie, pozbawiając człowieka jakiegokolwiek swobody i niezależności. Gdyby do tego doszło państwo, stałoby się największym jego wrogiem, a tempo upadku trwałoby niewspółmiernie krócej.

Pomimo, że w niektórych okresach urzędniczy system cesarski działał sprawnie, coraz powszechniejsze nadyżycia administracji państwowej były powodem głębokiej niechęci ludności. I rzecz znamienna, ludność ta wolała poddać się barbarzyńskim najeźdźcom germańskim i niegermańskim, niż chwycić za bron i przegnać słabszych stosunkowo napaścików. Więcej od najeźdźców lękała się — własnego państwa.

Dyskutuje się dzisiaj kwestię, czy odpowiadałyby Polsce niektóre formy cywilizacji bizantyjskiej?

Wydaje się nam, że odwrócenie się plecami od kultury zachodnio-europejskiej byłoby początkiem końca naszego narodowego bytu.

Mamy szansę przetrwać jako naród, współczesną wszechmoc państwa, z jego tak obu cesarstwom starożytności podobnym systemem urzędniczym. Przetrwamy, o ile potrafimy ocalić te wolności, które, jak powiedzieliśmy, są jeszcze do ocalenia. W żadnym jednak wypadku zgodzić się nie możemy na poddanie kościoła państwu i na urzędniczenie hierarchii kościelnej i duchowieństwa, co stało się w Bizancjum przed laty.

Cesarstwo rzymskie rozwiązało pomysł nie w niektórych fazach swego rozwoju nie tylko problem administracji państwowej przez dostosowanie jej do potrzeb człowieka, potrafił także ustalić „pokój światowy”, tworząc jedność polityczną starego świata.

Przed obu tymi zagadnieniami stojmy. Oba występują dziś w znacznie ostrzejszej formie, z powodu niepomiarnej węgrych środków, tak budowania, jak i niszczenia, skoncentrowanymi w rękach rządów.

Cechą naszej epoki jest tempo, oba przeto kapitalne zagadnienia współczesności rychło powinny być rozwiązane, w przeciwnym razie w szybkim tempie przyszłość musi katastrofa.

Czas nagli.

Stanisław Kostka-Rostworowski.

Aleksander Rymkiewicz

O kronikarzu narodu, wojen, łez i goryczy,
karty twojego dzieła wiatr pogorzelił targa,
twój wiersz kamieniem umiera na nieprzekupnych wargach,
a takich cmentarzy poezji ni wieńczyć kwiatami, ni zliczyć.

W latach szkła na ulicach i kołyszących się domów
prawdy poznałeś wielkie, jak bliskich osłaniać głowy.
Ileż prostej radości pomieścić mógł stół sosnowy,
gdy plecak otwierał skarby wśród wojny dalekich gromów.

I znowu tłumy i miasto, spragniona zarobku dłoń,
Wisła okręca wody w żelazach miejskiego stuku.
— O, nieprzytomny, pocóż do kronik swoich szukasz
wzrosów z krainy jezior, dymów z rodzinnych stron.

Z tomu „Z narodem”, który ukaże się niebawem nakładem „Panteonu”.

W k r a j u . . .

WYSTAWA „PRZEMYSŁ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH“

W DNIU 11 maja została otwarta w gmachu Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie wystawa „Przemysł Ziemi Odzyskanych”. Wystawa przedstawia dwuletni dorobek Polski na zwróconych nam, w wyniku ostatniej wojny, przastarych ziemiach piastowskich. Liczne ekspozycje wszystkich rodzajów przemysłu wskazują na to, że w ciągu dwóch lat od przyłączenia Ziemi Zachodnich do Polski ziemie te produkują wszystko. Ogólne zainteresowanie budzi tryzłubowy składany domek osadniczy z kompletnym wyposażeniem.

Centralny Urząd Planowania i Ministerstwo Ziemi Odzyskanych uzupełniły wystawę tablicami statystyczno-informacyjnymi. W sposób bardzo przystępny i przejrzysty podany jest ruch ludności polskiej i niemieckiej, obrazujący walkę o utrzymanie polskości tych ziem. W roku 1939 na Ziemiach Zachodnich było około miliona Polaków i 7-miu milionów Niemców. Obecnie ziemie te zamieszkuje 5 milionów Polaków i 400.000 Niemców, oczekujących na wyjazd do Rzeszy.

Wyniki repolonizacji i kolonizacji na Ziemiach Odzyskanych, odbudowa i rozwój przemysłu tych ziem świadczą, że niezależnie od historycznych praw Polski do zachodniej granicy na Odrze i Nysie, Ziemi Odzyskane stanowią wraz z centralną Polską i pod względem gospodarczym organiczną całość oraz, że mogą być przez nas lepiej od Niemców zagospodarowane.

SPRAWA WALKI Z DROŻYZNĄ

STATNIO można zaobserwować podwyżkę cen na artykuły pierwszej potrzeby, która powoduje, przy równoczesnym utrzymaniu się plac pracowniczych na dotychczasowym poziomie, obniżanie się stopy życiowej mas pracowniczych i tak nieprzekraczających dotąd minimum warunków egzystencji.

Zwyczaj cen wolnorynkowych ma swe uzasadnienie w stopniowej likwidacji po moey UNRRA i w normalnych trudnościach odbudowy gospodarczej. Niemniej w wielu wypadkach przyczynia się do niej panująca się u nas, powstała w wyniku anormalnych warunków wojennych, spekulacja produktami pierwszej potrzeby.

Na ostatnim posiedzeniu Komitetu Centralnego Związków Zawodowych, rozpatrującym zagadnienia, związane z położeniem materialnym mas pracujących, wynikiem z obecnej sytuacji gospodarczej kraju, przyjęto uchwałę w sprawie walki z drożyzną. Prezydium KCZZ wzywa Rząd do podjęcia energicznych kroków, w celu zapewnienia aprowizacji szerokim rzeszom pracowniczemu oraz w celu zlikwidowania działalności spekulantów. Jednocześnie Prezydium KCZZ wypowiedziało się za natychmiastowym uchwaleniem i wprowadzeniem w życie ustawy o Komisjach Cennikowych, oraz domaga się od Rządu zastosowania za działalność spekulacyjną wysokich kar, aż do kary śmierci włącznie.

W zasadzie słuszną uchwałę KCZZ budzi zastrzeżenia, jeśli chodzi o wysunięte w stosunku do Rządu sugestie wprowadzenia kary śmierci za uprawianie spekulacji. Idąc tą drogą, musielibyśmy za każde przewinienie karać naszych obywateli pozbawianiem ich życia. Poza tym państwo ma w swym ręku dostateczną ilość środków, umożliwiających likwidację spekulacji i do zastosowania kary śmierci w żadnym wypadku nie potrzebuje się uciekać.

PPS I PPR O JEDNOŚCI FRONTU PARTII ROBOTNICZYCH

W ZWIĄZKU z przemówieniami I-majowymi przywódców polskich partii marksistowskich ukazało się w prasie obu partii szereg oświadczeń, dotyczących sprawy pojmowania przez nie zagadnienia, wiążących się z istniejącą ścisłą współpracą PPR-u z PPS-em oraz dążnością do jej ujednolicenia.

Ostatnie prasowe wypowiedzi zarówno działaczy PPS, jak i PPR, stwierdzają konieczność jedności w działaniu, przy zachowaniu przez obie partie całkowitej odrębności organizacyjnej. PPS i w przyszłości nie widzi możliwości organizacyjnego połączenia się z PPR-em.

N A W I D O W N I

Wiosna w całej krasie, ziemia pławi się w barwach, zapachach i kwiatkach. We wszystkich naszych miastach i wsiach coraz to więcej à la alianckich mundurów i oznak, znajomych twarzy, dawno nie widzianych. W naszych rodzinach pełno radości, nadziei i wieści ze świata.

Powracają nie tylko żołnierze spod Narwiku, Tobruku, Monte Casino, Falaise, Chambois, ale jeńcy wojenni z Niemiec i więźniowie, górnicy z Francji, Belgii, Rumunii.

Na łamach tygodników i miesięczników czuć nowy powiew, spotyka się coraz częściej pisarzy i artystów dawno już nie słyszanych i nie czytanych. Narazie w tej postaci powracają do nas. Ich utwory i dzieła są zwiastunami ich powrotu do kraju.

„Odrodzenie” — przynosi już drugi fragment prozy Marii Kuncewiczowej, p. t. „Kanapowe kraje” — jest to mozaika czułych wspomnień o domu rodzinnym, o minionych niepowrotnie urokach polskiego mieszkania i życia w naszej stolicy.

„Nowiny Literackie” przedrukowały wiersz „Żydzi”, Kazimierza Wierzyńskiego, od wielu lat nieznanego u nas w kraju. Ma on wiele wspaniałych wierszy, zawartych w tomie „Krzyże i Miecze”, tom świetnych opowiadań z kampanii wrześniowej, p. t. „Pobojowisko”.

Teraz anonuje Melchiora Wańkowicza, autora głośnego reportażu „Bitwa o Monte Cassino”. Będzie to fragment jego powieści o latach walki pierwszej polskiej partyzantki, głośnego mjr. Hubali w Górach Świętokrzyskich.

Coraz to pojawiają się poezje, przekłady poetów węgierskich Kazimierzy Hławkowiczówny.

Tygodnik „Przekrój”, który coraz bardziej staje się literacki, przyniósł nam już fragmenty publicystycznych wystąpień Zygmunta Nowakowskiego, a ostatnio umieścił obszerne wyjątki z najnowszej książki Wańkowicza, „Kundlizm”, wydanej w Rzymie.

Jest to zbiór felietonów, pisanych przed bitwą pod Monte Casino, dla „Pisma Żołnierza APW”.

Kilkuletni pobyt autora wśród rodaków na emigracji dał mu możliwość uchwycenia naszych głównych narodowych wad, które dopiero uwydatniły się w komparycji z innymi narodami. Tworzą one razem styl naszego życia. Daje im autor nazwę „Kundlizm” i z pasją i humorem, tak wyróżniającym wszystkie jego wystąpienia, rozprawia się z nimi.

W przedmowie wyraża obawę, że „grobwiec bohaterów może stać się legowiskiem kundli, a krew ich — cementem, umacniającym mury megalomanii, które gnuśność wznosić pocnie dookoła polskiego ghettta na emigracji”.

Nie tylko na emigracji, ale i u nas w kraju.

„W rozmowach o Polsce i Polakach albo mówi się generalnie i wtedy z ust nam nie schodzi „wyrębana niepodległość”, Gdynia, COP i jeszcze raz na odwyrtkę COP. Gdynia, Westerplatte, Obrona Warszawy i t. p. — albo mówimy o znajomych Polakach i wtedy okazuje się, że jak okiem sięgnąć, wszyscy są durnie, karierowicze, dekonwicy, багаż załeszczycki, partyjnicy, nepoci, protekcyjnicy, synekurzyści, nieroby, intryganci..

Prostu — zdawałoby się — ten COP i ten krwawy wrzesień, to powstanie warszawskie i to Cassino sprawili jacyś inni Polacy, których nie znamy”.

Niemniej prawdziwe i trafne jest i to spostrzeżenie.

„Polakom jest — źle ze sobą. — Mówię nie o ciężkich chwilach, a właśnie — o dniu codziennym.

„Już zebrał się, już jesteśmy na kupie — i co wtedy? Wtedy — zalewa nas „jasna krew”. wtedy nas bierze cholera, wtedy „niech to szlag trafi”, jak te

rodaki jeden drugiemu utrudniają życie. Jeden drugiemu za grosz nie da kredytu.

Zaznajamiamy się w podróży z jakimś cudzoziemcem.

— Jaki jest pański fach? — pyta.

— Jestem inżynierem.

— Ach, tak...!

I w tym „ach tak” jest pokwitowanie wiadomości z dodaniem paru groszy kredytu: Jesteś inżynierem, więc pewno wy-studiuwałeś swój fach, więc zapewne umiesz to robić..

Jeśli jadę z rodakiem i powiem, że jestem inżynierem, to się krzywo uśmiechnie wewnętrznie: „Pewnie poprostu jakiś technik budowlany”. Jeśli powiem, że jestem literatem — pomyśli, że ma do czynienia z „reporterem”, doktor będzie u niego „lapiduchem”, geometra — „skoczybrudzą”, urzędnik — „urzędasem”, policjant — „gliną”, wydawca — „wydawcą”, nakładca — „nadkradca”, ksiądz — „klechą”, podoficer zawodowy — „zupakiem”, weterynarz — „konowalem”, aptekarz — „pigularzem”, pisarz — „gryzi-piórkim”, dziennikarz — „skrybą”, a kucharka — „garkoślukiem”. Człowiek wesół w jego pojęciu — wygłupia się, człowiek smutny — pozuje, człowiek energiczny — to karierowicz, indywidualność — to reklamiarz, człowiek myślący samodzielnie — „strugający wariata”, wierzący — to świętoszek, a niewierzący — to bolszewik, przedsiębiorczy — to taki, który pcha się, a wstrzemięźliwy — to kretyn.

Wytworzyliśmy bogate słownictwo pogardliwych słów. Trudno z takim bagnem powszechnej zgryźliwości i braku zaufania poczynać pracę”.

Profesjonalnym łowcą naszych wad na rodowych i śmieszności, biczem Bożym, stał się na emigracji dopiero Karol Zbyszewski, autor najoryginalniejszej chyba historycznej monografii, „Niemcewicz od przodu i tyłu”, i niezapomnianych felietonów w „Prosto z Mostu” i „Ryżowa szcztotka”.

W długie lata emigracji kontynuował je pod nazwą „To i owo”. Część ich wydał w zbioru „Z Marszałkowskiej na Picadilly”.

Te krótkie felietony, aforyzmy, anegdoty, skotopaski i figliki świetnie wyłowione z aktualnych wydarzeń, są szczytem wyrazu, lapidarności, zjadliwej ironii, za bójczego sarkazmu i prawdziwego humoru i dowcipu.

Kapitałnie uchwycił on antynomje w charakterze Polaków i Brytyjczyków.

„Normalna rozmowa towarzyska u Anglików polega na stwierdzeniu, że pogoda jest dziś śliczna, że jamniki są czarujące, że Borneo jest piękne, że ostatnie filmy są doskonałe.

Gdy zaczyna się zwykła rozmowa Polaków, usłyszy się nieodmiennie, że p. X. jest durniem, że p. Y. kradnie, że p. Z. robi świństwa, a pani N. się puszcza”.

Albo felieton zatytułowany „O czym oni mówią”.

— Tak, to skończona świnia..

— No, ale ten.. to jeszcze gorsze bydle..

— O, to łobuz, kanciarz, oszust, prawie taki sam, jak..

— Ach, to kompletny złodziej, a przy tym kanalia, niczym

— Ten nadomiar zupełny idiota, właściwie kretyn..

— Bezdennie głupi, ale nie tak podły, zakłamany, bezczelny, jak..

— Och, to dopiero lizus, wazeliniarz, wstrętniejsza odeń kreatura jest chyba tylko..

— No, ten agent hitlerowski, to ściervo bez czci i sumienia, on się dobrał z tym..

— Aa, ten to szuja, łotr, on by własną żonę sprzedał..

— Eee, stara rogówka, nie potrzebuję jego pomocy, by to zrobić..

Co to jest? Co to znaczy? Kto to mówi? O jakiej bandzie?

Nic specjalnego.

Ot — zwyczajna rozmowa dwóch Polaków o wspólnych znajomych.

„Anglicy, kiedy są pijani, klną jednostajnie i bez potrzeby. Polacy klną pomy-

słowo i jedynie poto, aby wyrazić oburzenie, radość, zdumienie, niechęć do kogoś, uwielbienie dla czegoś, zapał, rozczarowanie, zachwyt, przygnębienie, energię, niezdecydowanie.. albo poprostu dla podtrzymania rozmowy”.

Pobyt w Polsce przedstawicielei po-bratymczego państwa czeskiego dał a. sumpt Kisielewskiemu do skreślenia w „Tygodniku Powszechnym” słusznych, trafnych i głębokich uwag.

...u nas Czech rzeczywiście nie jest na ogół popularny: śmiejemy się z mandoliny, z knedli, z porcelany, ze Szwejka, z Hachy i z powstania, w którym zburzono parę domów. Lecz zastanawiam się, kto tu z kogo mógłby się śmiać. Są sytuacje, kiedy łatwiej i prościej jest walczyć, trudniej i boleśniej od walki powstrzymać się.

W czasie wojny pewien mój znajomy twierdził, że powinien w Polsce powstać rząd quislingowski, rząd à la Hacha.—Po wojnie ten rząd powiesimy — mówił — będzie to kozioł ofiarny, ale za to teraz mniej ludzi pójdzie do Oświęcimia. Czy to nie warto? Ależ wtedy będziemy ucho-dzić za sojusznika Niemiec — mówiłem mu. — Cóż to szkodzi — odpowiedział — to nawet będzie lepiej, bo Anglosasi zwykli po wojnie bardziej szanować przeciwników, niż drobnych sojuszników, których lekceważą, zresztą rozumieją przecież, że Polacy nie mogli z góry wiedzieć, kto wygra wojnę”.

Kisielewski stawia taką diagnozę choroby naszego charakteru:

„Skleroza mózgu jest chorobą bardzo w Polsce rozpowszechnioną — główne jej objawy ślepe przywiązanie do starych ha-seł, bez względu na jakiegokolwiek nowe okoliczności, które nakazują modyfikację, niezdolność do posiadania elastycznej i zręcznej taktyki, nieumiejętność szybko-go orientowania się w sytuacjach.

Drugą jednak chorobą, również w Polsce rozpowszechnioną, jest przeciwieństwo tej: kanciarstwo popolite. Tutaj znowu objawami są zbyt szybkie orientowanie się w sytuacji, a absolutny brak przywiązania do jakichkolwiek hasel i elastyczność podniesiona do dziesiątej potęgi. Między tymi dwoma krańcami rozciąga się istna próżnia Toricellego — nie masz tam miejsca ani na moralną trzeźwość, ani na rozsądne bohaterstwo. Polska — wydaje się, posiada tylko bohaterów i draniów — brak studium pośredniego: chcemy mieć wszystko, albo nic, w rezultacie najczęściej dostajemy — nic. Nie umiemy działać wielotorowo, rozdzia-łać rolę, umawiać się po cichu, udawać, maskować, po prostu — nie umiemy politykować. Jeśli ktoś w Polsce ma zręczność i spryt, to jest zazwyczaj szabrownikiem, przemytnikiem, drobnym egoistycznym kombinatorem, jeśli zaś ktoś jest idealistycznym politykiem, to już takim, że każdy go „wykiwa” i „wykantuje”.

Szlachetność staje się synonimem nie-dołęstwa, zręczność i spryt — synonimem draństwa. Wszyscy niemal politycy realistyczni byli w Polsce skazani na niepopularność i opinię zdraycy, politycy otwarci i szczerzy, prostą drogą idący — przegrywali.

Taki to już pechowy kraj”.

St. P.

KATECHIZM

najtańsz najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski
Gostynin, wojew. Warszawskie

St. Edward Bury

TRZY SIERPNI

Pamięci Wacława Bojarskiego i Tadeusza Gajcy.

Pukanie było coraz natęższe, wrześnie przeszło w gwałtowne szarpnięcia klamką. Napewno ktoś obcy, gdyż dla swoich był umówiony specjalny system pukaniu. Zresztą o tej porze Stefan nikogo nie oczekiwał. Panna Zofia zawiadomiła rano przez punkt, że jest chora i nie przyjdzie do pracy. Stefan sam więc musiał pisać dzisiejszy dziennik. Dwaj koledzy, obsługujący powielacz, przychodzili dopiero około dwunastej. Dopiero przed chwilą wyszła łączniczka Halina, a reporter Włodek zapowiedział, że dziś nie przyjdzie, gdyż ma przed południem woj skową odprawę. Poza wymienionymi osobami lokal na Furmańskiej znali jeszcze tylko Włodek, Wacław i Karol. Włodek ma właśnie teraz zebranie na Rakowieckiej, a Wacław i Karol...

Schował maszynę do pisania, pudełko z matrycami, nasłuch radiowy i kartki z materiałem redakcyjnym. Następnie otworzył szafę, w której dnie mieściła się skrytka. Nacisnął blaszką dwa niewidoczne zamki. Górne wieko skrytki odskoczyło. W tej chwili przypomniał sobie, że była to tylko strata czasu, gdyż pistolet pożytył przecież wczoraj Wackowi. W skrytce leżały wprawdzie cztery granaty, jednak były one przeznaczone tylko na wypadek „wsypy” i obstawienia domu. Lokal znajdował się na pierwszym piętrze, granaty można więc było zużytkować z pewnym skutkiem, rzucając je przez okno.

Zatrzasnął skrytkę i przeszedł do ciemnej, brudnej kuchni. Łomotanie klamką ustało. Ktoś odszedł od drzwi i schodził wolno po schodach. Lekkie stapanie wskazywało na kroki kobiece.

Stefan otworzył drzwi. Na półpiętrze odwróciła się młoda dziewczyna w granatowym berecie i jasnej sukience. Na widok Stefana zawróciła na górę.

— Myślałam już, że nikogo nie ma.

— Pani do kogo?

— Do pana Załoby — powiedziała niemal szepem, wymieniając jeden z pseudonimów Stefana, używany w konspiracyjnej pracy dziennikarskiej.

— A w jakiej sprawie?

— Przychodzę ze Szpitala Dzieciątka Jezus, od pana Wacława — odpowiedziała jeszcze ciszej.

Weszli do kuchni. Pani opowiedziała, że Wacława przywieziono dziś rano do szpitala, w którym pracowała, w bardzo ciężkim stanie, z postrzałem w brzuch. Wacław jest jednak przytomny i prosi, by go odwiedzić. Leży na czwartej sali.

— Czy wie pani może, w jakich okolicznościach został ranny?

Nie wiedziała, czy też nie chciała powiedzieć. Była zalekciona i bardzo się spieszyła.

A więc jednak złe przecucia nie zawiodły go. Wczoraj Wacław wydał mu się jakiś inny. On, zawsze pełen pogody, optymizmu i radości życia, niewyczerpany w „kawałach” i pomysłach, zarażający otoczenie swym ciągłym humorem, był wczoraj dziwnie poważny i skupiony.

Do redakcji przychodził zwykle wtedy, gdy ułożył nową piosenkę partyzancką. Stefan zamieszczał ją „na gorąco” w dzienniku, co nie było rzeczą łatwą, gdyż trzeba było pisać nuty prymitywnym rytmem na woskowie. Każdą taką piosenkę śpiewała po kilku dniach niemal cała podziemna Warszawa.

Wczoraj Wacek przyszedł z nową piosenką, nie miał jej jednak jeszcze „zapisanej” i obiecał przynieść dopiero za dwa dni. Na prośbę Stefana zaśpiewał ją.

Okazało się, że nie była to piosenka partyzancka, jakich stworzył już kilkanaście, lecz marsz żałobny. Śpiewał go z powagą i przejęciem, wpatrzony w przestrzeń, obcy w tym śpiewaniu i daleki, jakby nieobecny.

Kiedy skończył, Stefan chcąc rozwiać wytworzony pieśnią nastrój ciężki i dławiący, zrobił złośliwą uwagę, która zabrzmiała jak śmiech w kościele. Próbował naprawić tę niezręczność, jednak dalsze jego słowa były nowym przykrym zgrzytem.

Wacław był nadal poważny i skupiony, zbywając milczeniem uwagi, Stefan zrezygnował więc z dalszych prób i skapitu-

lował przed ciszą, która gnioła go swym nieznośnym ciężarem.

— Jutro przypada czterechsetna rocznica śmierci Kopernika — przerwał wrześnie ciszę Wacław.

— Myślałem właśnie, że trzeba będzie dać na ten temat wstępny artykuł. Może napiszesz, Wacek?

— Nie, to nie o to chodzi. Myślałem o czym innym.

Mocował się z czymś z trudem, wrześnie przełamał się.

— Chcę złożyć wieniec na pomniku Kopernika — wyrzucił z siebie szybko — i chciałem cię prosić, byś mi pożyczył swoją ef-enkę.

— Oszalałeś chłopie?! Sam to chcesz zrobić?

— Nie. Wybieramy się w trójkę. Będzie jeszcze Chmura i Tadek.

— Który Tadek?

— No, Karol.

— Ależ to karygodne szaleństwo! Przecież to niemal naprzeciw pierwszego komisariatu. No i poza tym pod kolumnami Pałacu Staszica stoi stale posterunek. A jutro napewno obstawia mocno Kopernika, bo chyba będą się czegoś spodziewali. Można przecież było zorganizować mocną osłonę. Czy mówiłeś o tym z Włodekiem?

— Nie. Prócz mnie wiedzą o tym tylko Chmura i Tadek. No i ty. Ale musisz dać mi słowo, że zatrzymasz to do jutra przy sobie.

Wszelkie rady i argumenty trafiały w próżnię. Mocował się z Wacławem dość długo, ulegał jednak coraz bardziej jakimś irracjonalnym fluidom, które szły od niego. Wrześnie skapitulował.

Wręczając Wackowi pistolet, prosił go, by wpadł rano do redakcji, lub zawiadomił przez Halinę, jak poszło. Złożenie wienca miało nastąpić o szóstej rano.

Pożegnali się bez słowa mocnym uściśkiem dłoni. Twarz Wacława była do końca poważna i skupiona.

Teraz znał już tragiczny finał tego szaleństwa. Relacje pielęgniarki nie tyle go zaskoczyły, co zdziwiły. Nie wierzył ani przez chwilę w powodzenie tej akcji i przygotowany był na najgorsze. Nie rozumiał jednak, w jaki sposób Wacław znalazł się w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Jeśli jest ranny, to napewno od niemieckiej kuli, która dosięgła go dziś w czasie skądania wienca. A pielęgniarka mówiła, że jest ciężko ranny, było więc niemożliwe, by w takim stanie zdołał uciec przed tymi, którzy go postrzelili. Dlaczego więc nie odstawili go do szpitala więziennego? I co stało się z Karolem i z Chmurą? Jeśli by zdołali szczęśliwie zbiec, to Karol byłby tu już dawno. Prawdopodobnie obaj zostali zabici.

Wyjął maszynę i matryce zabrał się spowrotem do pisania dziennika. Robota szła jednak, jak po grudzie. Myśli krążyły stale wokół Wacława, układając się w męczące pytańki. Pragnął znaleźć się jak najprędzej w szpitalu. Dziennik trzeba było jednak skończyć. Za pół godziny przyjdzie obsługa powielacza, a do roboty pozostało jeszcze dwie pierwsze strony.

Rozległo się łomotanie: dwa wolne, trzy szybkie i znowu dwa wolne szarpnięcia klamką. To swój.

Poszedł otworzyć. W drzwiach stał Karol. Chwała Bogu! Widocznie nie było tak źle.

Powitał go bardziej serdecznie, niż zwykle i powtórzył relacje pielęgniarki. Karol był nimi wyraźnie zdziwiony.

Na prośbę Stefana opowiedział przebieg całej akcji.

Spotkali się we trójkę o szóstej pod Teatrem Polskim na Karasia. Wieniec z szarfą, z napisem „Genialnemu Polakowi Mikołajowi Kopernikowi w 400-tą rocznicę śmierci — Podziemna Polska” — zostawili poprzedniego dnia u jednego z portierów teatru, skąd teraz go zabrali. „Osłonę” stanowił Karol, któremu Wacław dał pistolet, pożyczony z redakcji. Wacław miał złożyć wieniec, a Chmura dokonać zdjęcia fotograficznego. Pierwszy ruszył Karol, zajmując stanowisko za naróżnym filarem Pałacu Staszica. Był tak przejęty całą sprawą, że nie zauważył ukrytego za następnym filarem policjanta. Za Karolem udał się Wacław z wiencem,

za nim zaś szedł w pewnej odległości Chmura z aparatem fotograficznym.

Plac był na szczęście pusty. Gdy Wacław dochodził do pomnika, przejechał szybko samochód osobowy. Po schodach kościoła św. Krzyża szła o lasce jakaś starszka, spiesząc na pierwszą mszę.

— Ścisnąłem w kieszeni kurczowo odbezpieczony pistolet — opowiadał dalej Karol — śledząc w najwyższym napięciu Wacława, który wszedł już na stopnie pomnika. Szedł trochę za wolno, a może tylko dla moich nerwów... Wrześnie złożył wieniec u stóp pomnika. W tej chwili Chmura, stojący w odległości kilkunastu kroków, pstryknął leiką. Odetchnąłem. Nagle zobaczyłem „granatowego”, który szedł szybko do pomnika od Pałacu Staszica. Prawdopodobnie był ukryty, tak jak i ja, za jedną z kolumn. Wacek schodził już ze stopni i zdaje się nie zauważył policjanta, bo szedł równie wolno, jak wchodził. „Wacek, uciekaj!” Chmury zbiegło się z okrzykiem policjanta „Stać!”. Na ucieczkę było jednak już za późno, gdyż jak wiesz, odległość od kolumn do pomnika jest nieduża. Chmura wycofał się szybko, jednak zamiast dać nura w Karasia, zaczął biec Krakowskim Przedmieściem w kierunku kościoła. Policjant doskoczył do Wacka, złapał go za kołnierzyk marynarki i coś mówił do niego podniesionym głosem. Wacek początkowo szamotał się, próbując się wyrwać, ale potem zawrócił na stopnie pomnika, trzymany cały czas przez policjanta, który zdaje się zaczął zabrać mu wieniec.

Nie bardzo wiedziałem, co robić. Wrześnie zdecydowałem się steroryzować policjanta pistoletem i uwolnić Wacka. Wskoczyłem z filara, biegnąc w kierunku pomnika. Policjant był odwrócony do mnie tyłem, mogłem więc go zaskoczyć. W tym momencie Wacław wyrwał się policjantowi i coś zawołał do mnie. Zdawało mi się, że „strzelaj!”, ale mogło to też być „nie strzelaj!”. Wystrzeliłem w stronę policjanta i widząc Wacka, biegnącego w kierunku Karasia, rzuciłem się w dół Kołnierzyka. Zdażyłem na szczęście schować pistolet na czas, bo kiedy skręciłem w Tamkę, natknąłem się na dwóch mundurowych Niemców. Nie rozumiałem swoją drogą, dlaczego mnie nie zatrzymali. Wprawdzie krzyknąłem do nich po niemiecku, że na placu Kopernika „strzelają bandyci”, co na szczęście potwierdziła seria rozlegających się w tym momencie nowych strzałów. To ich prawdopodobnie przekonało, bo puścili mnie wolno i pobiegli w górę Kopernika.

— Miałeś jednak szczęście, chłopie. No i przynajmniej pistolet uratowany — wtrącił Stefan.

— Diabła tam uratowany. Bałem się, że zrobią obławę i schowałem pistolet do najbliższej rynny. Potem doszedłem do Dobrej, wskoczyłem w „petkę” i objechałem dopokoła przez pl. Trzech Krzyży aż do Krakowskiego Przedmieścia. Kiedy wysiadłem przy pomniku Kopernika, panował tam już spokój. Od ludzi, wychodzących z kościoła, niczego się nie dowiedziałem. Słyszeli jakąś strzelaninę, ale bali się wtedy wyjść. Zaszedłem zaraz do Wacka do domu, nie było go tam jednak. Powiedzieli, że wyszedł rano do kościoła i jeszcze nie wrócił. Oczywiście o niczym im nie mówiłem. No i to jest wszystko, co wiem o całej sprawie.

— Szkoda jednak pistoletu — zauważył z wyrzutem Stefan, ale natychmiast zawstydył się swej małostkowości.

— Wacek dogorywa, Chmura może zabity, a ty żałujesz pistoletu — skarcił go ostro Karol. — Ciekaw jestem, co byś zrobił na moim miejscu?

— Przepraszam cię bardzo, nie gniewaj się. Powiedziałem głupio. Tylko, widzisz, to był jedyny pistolet na całą redakcję, a o nowy będzie trudno — brnął dalej Stefan, czując zresztą całą niestosowność tego biadolenia.

Karol wstał.

— Posiedź jeszcze. Dokąd idziesz?

— Do szpitala.

— Poczekaj. Za pół godziny skończę numer i pójdziemy razem.

— Pójdę sam. Dowidzenia — powiedział już w drzwiach bardzo chłodno, nie podając na pożegnanie ręki.

Stefan zamknął za nim drzwi na klucz

i wrócił do przerwanej już dwukrotnie pracy.

Duże zdyscyplinowanie, zdobyte w ciągu czterech lat pracy konspiracyjnej, umożliwiło mu dalsze pisanie. Jednak myśli o Wacławie i Karolu przeciekały uporczywie szczelinami ciasnej klatki, w której zamknął swój umysł, usiłując skoncentrować się wyłącznie na pracy.

Wyrzuty obsiadły go, jak natrętne muchy. Czuł swoją współodpowiedzialność za niepowodzenie całej akcji i swój udział w lekkomyślnym i karygodnym szaleństwie tej trójki.

Czy tylko lekkomyślnym i czy na prawdę karygodnym?

Starał się całą sprawę sprowadzić na właściwą płaszczyznę, doszedł jednak do wniosku, że płaszczyzn tych było wiele, w zależności od kryteriów, z jakimi się do niej podchodziło.

Byłoby zbyt łatwe swój pogląd, próbował włączyć siebie aktywnie do tej sprawy. Więc: dlaczego on nie pomyślał o złożeniu wienca, skoro pamiętał o rocznicy i myślał o artykule wstępnym. Tchórzliwa samoobrona podsunęła zaraz skwapliwie: to nie leżało w zakresie twojej działalności; masz przecież swój wyraźnie zakreślony odcinek pracy. No a tamci? A Wacław? To przecież też do nich nie należało. Redagowali podziemne pismo literackie, urządzali konspiracyjne imprezy artystyczne, układali piosenki partyzanckie. A jednak pomyśleli i o uczczeniu rocznicy Kopernika.

I znowu „trzeźwa” refleksja: mogli to tylko zainicjować, a wykonanie przekazać komórce, posiadającej odpowiednie kwalifikacje do przeprowadzania tego typu akcji. Mogli chociażby postarać się o dobrą osłonę, jeśli już koniecznie chcieli sami być wykonawcami. Przecież tego policjanta można było jeszcze przed złożeniem wienca na pewien czas unieszkodliwić i przeprowadzić akcję bez żadnych ofiar i z pewnym skutkiem.

Tak. To wszystko prawda. A jednak wybrali inną drogę. Wybrali szaleństwo. Przenieśli je nad mechanizm. Bo czymże była każda akcja, z góry dobrze przemyślana i precyzyjnie wykonana, wykuczająca wszelkie niespodzianki i niepowodzenie, zmniejszająca do minimum wszelkie ryzyko? Niewątpliwie w konspiracji, jak i w życiu, ważne jest nie samo działanie, lecz jego wynik. To też prawda. Do osiągnięcia zamierzonego skutku potrzebne są jednak ściśle określone elementy, na których buduje się możliwość spowodowania określonego wyniku.

A jednak... Czy w ten sposób rozmawiali pierwsi żołnierze Podziemnej Polski? Budowali ją nie na materialnych przesłankach, lecz głównie na imponerabiliach. Mierzili siły na zamiary.

Dalsze rozmyślenia przerwał łomotanie klamką. Umówione. Przepisowe. To pewnie „załoga” powielacza.

Tym razem nie omylił się. Przeprzył ich za opóźnienie dziennika, tłumacząc je brakiem maszynistki i sprawą Wacława, o które poinformował kolegów bardzo ogólnikowo, podając jedynie, że Wacek leży postrzelony w szpitalu.

Zabrał się energicznie do roboty i za kwadrans skończył dziennik. Przejrzał jeszcze dokładnie woskówki, zrobił „korektorem” najkonieczniejsze poprawki i wyszedł.

Przyjętym zwyczajem szedł do szpitala piechotą.

Co za dziwny zbieg okoliczności. Dopiero przed dwoma tygodniami opuścił ten sam szpital, w którym leży teraz Wacław. Przywieźli go tam pół żywego, z przestrzelonym płucem, w ostatniej fazie wycieńczenia, spowodowanego kilkakrotnym silnym wpływem krwi. Odzyskaną w fantastycznych okolicznościach wolność zawdzięczał jedynie przypadkowi: wieszono go z Szucha na Pawiak w jednym transporcie z jakimś wyższym oficerem z komendy A. K. Transport został szczęśliwie odbity, jednak wspomniany oficer, dla którego akcja była zorganizowana, zginął w czasie akcji. O szczegółach tych dowiedział się dopiero później w szpitalu, do którego przewieziono go po kilku dniach. Przed tym leżał w prywatnym mieszkaniu, u jakichś obcych ludzi, któ-

(D. c. na str. 11-ej)

Większość biografów Kraszewskiego potyka się o trudność wyraźnego spreycyzowania stanowiska jego w odniesieniu do wypadków styczniowych, trudność wynikająca z chwilowych i niekonsekwentnych, a często i pełnych sprzeczności sądów, ocen i wskazań przez niego wygłaszanych, co istotnie sprawia, że bez pracowitego przygotowania niepodobna na podstawie samych tylko wypowiedzi publicystycznych, czy powieściowych wyrobić sobie jasnego poglądu na stosunek pisarza do sprawy nas interesującej, ani wytyczyć wyraźnej, zdecydowanej linii jego kierunku myślowego.

Jasną i całkowicie naturalną jest rzeczą, że poglądy pisarza mogą ulec i ulegają zazwyczaj pewnym, nawet dość znacznym przemianom i ewolucjom. Czy tenik ma wszakże pełne prawo wymagać, by przynajmniej w ramach jednego i tego samego utworu panował jednolity pogląd na jakąś sprawę, by autor nie wypowiadał w nich od siebie sprzecznych i przekraczających się nawzajem opinii. A prawda każe wyznać, że wielkiemu pisarzowi Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, „tytanowi” literatury polskiej, zdarza się to jednak, i nawet wcale często, zwłaszcza gdy chodzi o jego refleksje rozsnuwane na temat roku 63 oraz trzech lat poprzedzających jego nadejście.

BRAK WŁASNEGO PROGRAMU POLITYCZNEGO

Ażeby to przynajmniej częściowo zrozumieć i uniknąć niepotrzebnych zawodów, musimy sobie od razu na wstępie powiedzieć, że Kraszewski politykiem nie był, jak nie był też oryginalnym, samodzielnym myślicielem, choć bardzo lubił snuć głośno przed czytelnikiem nic swych nie zawsze dostatecznie przemyślanych i pogłębionych rozważań, jak i nie miał też w sobie nic z czynnego, bojowego działacza społecznego i narodowego. Nie potrafił się nigdy zdobyć na jakiś własny, odrębny program polityczny, pod żaden z istniejących ówczesnie kierunków nie chciał się całkowicie podpisać, lawirował tedy niezdecydowanie między różnymi stronnictwami, pragnąc zachować jakiś bliżej nieokreślony środek, w rezultacie zaś skłaniając się kolejno to do jednego, to do drugiego kierunku, zależnie od chwilowych wpływów, czy wrażeń. Wedle jego własnych słów, starając się trzymać i pozostać „od partii i ludzi niezależnym”, był zawsze „za czerwonym dla białych, a za białym dla czerwonych”. Nie posiadając wyraźnego oblicza politycznego w życiu, jakże go mógł utrwalić w pismach...

REDAKTOR „GAZETY POLSKIEJ”

Trzy ostatnie lata poprzedzające powstanie spędził Kraszewski w Warszawie, przybywszy z Żytomierza dla objęcia stanowiska redaktora „Gazety Codziennej”, przemianowanej później przez niego na „Gazetę Polską”. Był to właśnie okres, kiedy Warszawa rozpoczynała się „organizować”, okres wielkich manifestacji narodowych, oraz burzliwych tarć „czerwonych”, pchających za wszelką cenę do powstania, z „białymi”, przeciwstawiającymi im program „pracy organicznej”, powolnej, jawnej, legalnej. Kraszewski był naocznym świadkiem wielkich manifestacji narodowych i starć bezbronnych ludu ze strzelającym do niego wojskiem, co wywarło na nim niezatarte wrażenie. Jakby porwany mimowoli wielkością obrotu i ogólnym nastrojem, śledził uważnie, w radosnym uniesieniu wszelkie objawy budzącego się po trzydziestu latach uspienia ducha narodowego. W pracy organizacyjnej, spiskowej nie brał jednak żadnego udziału, a nawet, o ile możemy sądzić z jego wypowiedzi, nie był

bardziej wtajemniczonym i zorientowanym od przeciętnego obywatela ówczesnej Warszawy, co czasem aż zadziwia wobec wybitnego stanowiska, jakie w życiu umysłowym i towarzyskim stolicy zajmował. W przeddzień powstania nieomal opuścił z rozkazu Wielopolskiego Warszawę, by do niej nigdy nie wrócić.

WYJAZD DO DREZNA

Osiadł się w Dreźnie, łudząc się zrazu nadzieją szybkiego powrotu, a choć już tylko z daleka mógł śledzić przebieg rozgrywającego się powstania wraz z jego tragicznym epilogiem, oczy miał wciąż zwrócone na kraj, zbierając i notując zapobiegliwie wszelkie relacje od uczestników — powstańców, ciągnących szeroką ławą emigracyjną na Drezno. W przeżyciach emigrantów brał nader żywy udział, pełniąc funkcje skarbnika Komitetu pomocy emigrantom. Przez mieszkanie jego dzień po dniu przesuwiał się sznur petentów, a niekończące się relacje, utyskiwania, żale i skargi, których niejako z urzędu musiał wysłuchiwać, zapładniały jego umysł, trzymając go w nieustannym napięciu i podnieceniu twórczym.

OCZYMA ROZBUDZONEJ WYOBRAZNI

Ale mimo tak silnych przeżyć osobistych oraz bogatego, wszechstronnego, a wciąż napływającego materiału, nie znajdujemy w jego utworach jasnego wejrzenia na całokształt wypadków dziejowych, ani konsekwentnie i dokładnie przemyślanej oceny sytuacji politycznej, ani nawet prawdziwego przekroju ówczesnej rzeczywistości narodowej. Bo choć w swoich powieściach powstańczych opisuje z drobiazgową precyzją i fotograficzną niemal dokładnością wszystkie ważniejsze sceny, wypadki i zdarzenia, co z pewnego punktu widzenia nadaje im wartość nieomal dokumentarną, historyczną, zwłaszcza gdy chodzi o epokę przedpowstańczą, to jednak przez swoistą interpretację faktów pokazuje nam przeważnie ową rzeczywistość nie taką, jaką była w istocie, lecz jaką pragnął ją widzieć i jaką też oczyma rozbudzonej wyobraźni oglądał.

NIEPEWNOŚCI I ROZBIEŻNOŚCI

Owa wyobraźnia właśnie — wedle słusznego twierdzenia prof. Szwejkowskiego — mniej samorodna i twórcza, niż chłonna, ruchliwa i obrotna, czyniła go nader czułym i podatnym na wszelkie wrażenia i wpływy z zewnątrz, co sprawiało, że porwany jakimś faktem, obrazem, jakimś wrażeniem, słowem, dawał się unieść tak dalece prądowi, że porzucając z przedziwną nonszalancją i... pewnym brakiem odpowiedzialności jednak, poprzednio wyznawane zasady, stawał się wyrazicielem i głosicielem nowych opinii, stojących w wyraźnej sprzeczności z dawniejszymi, dosyć lekko porzuconymi, co nie przeszkadzało mu bynajmniej wkrótce potem, pod wpływem nowych wstrząsów i przeciwnych prądów powrócić znowu do poprzedniego stanowiska. Jeśli się doda do tego pewien brak krytycyzmu oraz upodobania do głębokiego przetrawienia i przemyślenia każdego opracowywanego zagadnienia, przy nieodpartym, a tak bardzo charakterystycznym dla twórczości Kraszewskiego impulsem, każącym mu wszystkie otrzymywane wrażenia i przeżycia przelewać na papier i dzielić się nimi z czytelnikami od razu, gwałtownie, na gorąco, z oczywistą szkoda dla wartości artystycznej i pogłębienia myślowego utworu, jasną dopiero i bardziej rozumiałą się stanie owa chwijność, niepewność i rozbieżność w poglądach na jedną i tę samą sprawę, tak często spotykana w utworach Kraszewskiego. Bogactwo i wszechstronność zdobytego materiału, tak pomocne zazwyczaj w pracy, w danym wypadku mogły mieć raczej skutek odwrotny, powiększając jeszcze chaos i rozdwojenie, jako że styczność z przedstawicielami różnych poglądów na pracę narodową i celowość walki orężnej, przy znanej już wrażliwości i braku mocnego pionu politycznego, musiała niejako — zależnie od przewagi takiego, czy innego wpływu, powodować różne zwroty myślowe i uczuciowe w stosunku do przeżywanego wciąż z taką intensywnością sprawy, dezorientując tymi skokami bezradnego badacza, nie

Wanda Kieszowska

Patriotyzm, niezara

Stosunek Kraszewskiego do

przygotowanego na taki brak logiki i konsekwencji u takiej sławy, u tak wielkiego bądź co bądź pisarza, u „tytana i kolosa” literatury polskiej.

CYKL POWIEŚCI POWSTAŃCZYCH

Na usprawiedliwienie jego musimy wszakże dodać, że Kraszewski uniesiony temperamentem pisarskim, pierwszy w góle porwał się na wprowadzenie motywu powstańczego do literatury, ujmując ten temat w pełnym ogniu aktualności, zanim jeszcze historia wyrzekła o nim pierwsze słowo i zakończył swój cykl powieści powstańczych, zanim jakikolwiek inny pisarz przystąpił do opracowania tego tematu. Z dziesięciu powieści poświęconych zagadnieniu zrywu styczniowego oraz lat poprzedzających powstanie, wydawanych pod pseudonimem „Bolesława”, a objętych wspólnym podtytułem „obrazków współczesnych narysowanych z natury”, trzy (Dzieci Starego Miasta, 1863, Szpieg, 1864, Para czerwona, 1864) zostały ukończone jeszcze przed upadkiem powstania. Opracowywany temat dymił strzałami i splotywał świeżą krew. Niełatwą rzeczą było zdobyć się w tych warunkach na obiektywizm, perspektywę i trafną ocenę historyczną. Sam Kraszewski czuł, że stapo po mocno chwijnym i grząskim gruncie i nie bardzo śnać był pewien własnych przekonań, skoro zastrzegą się wyraźnie we wstępie do jednej z powieści tego cyklu, że „...znajdą się (w nich) sprzeczności, koloryt różny, pogląd niejednaki, napiętniejsze i chłodniejsza sądy...”.

PRZECIWNIK „REWOLUCJI”

Chcąc jednak poprzez owe rozbieżności i sprzeczności doszukać się jakiejś ciągłości myślowej w poglądach, jakichś mocniejszych podstaw w ideologii Kraszewskiego, należałoby opierać się na ogólnych zasadach światopoglądowych oraz na całości sylwetki duchowej pisarza, odróżnić stałe fundamenty od powierzchniowych, naniesionych silnymi, a przejściowymi wrażeniami pokładów, stojących w wyraźnej sprzeczności z całokształtem wyznawanych przez niego zasad. Jakkolwiek trudnym się to wydawać może, u Kraszewskiego jednak jest to możliwe do przeprowadzenia. I postaramy się tego dokonać.

W zasadzie był Kraszewski wyraźnym i zdecydowanym przeciwnikiem spisków, pracy tajnej, „rewolucji”, jak w owych czasach wszelki ruch wolnościowy nazywano. Był zaś ich przeciwnikiem nie tylko z punktu widzenia interesów narodowych, nie wierząc w możliwość zwycięskiej walki z tak potężnym przeciwnikiem, jak Rosja, lecz również, a nawet przede wszystkim z przyczyn moralno-religijnych. Fakt ten zasługuje na podkreślenie, gdyż kryterium to Kraszewski, głęboko przejęty duchem ewangelicznym i wyznający zasadę, że nauka Chrystusa obowiązuje w równym stopniu jednostki, jak i narody i całą ludzką społeczność, starał się zawsze stosować przy ocenie wszelkich prądów i ruchów społecznych, wszelkich teorii narodowych i posunięć politycznych.

Z „WIECZORÓW WOŁYŃSKICH”

Na temat spisków i powstania wypowiedział się jak na siebie w sposób bardzo zdecydowany w „Wieczorach Wołyńskich” już w 1857 r., zatem jeszcze przed ujęciem Warszawy i kraju w sieć roboty organizacyjnej, co jest o tyle ważne, że rozpatrując to zagadnienie z czysto teoretycznego na razie punktu widzenia, mógł zachować całkowity obiektywizm i spokój rozumowania. Oto co tam czytamy: „Spisek, zmowa potajemna, są to środki zabójcze, wycieńczające zawsze, dające się najłatwiej sparaliżować, najmniej nie-

bezpieczne dla tych, przeciwko którym są wymierzone, najgubniejsze dla nas samych. Jest coś w naturze tych stowarzyszeń potajemnych przy najszlachetniejszych celach poniżającego — człowiek uczy się kłamać, musi pokrywać, stawia się w położeniu fałszywym, upokarzającym, a ogólny wpływ takich towarzyszeń na moralność nie jest korzystny... Dość było rozpaczliwego miotania się i porywów bezsilnych... Upadek dzisiejszy winniśmy nie tyle prześladowaniom i uciskom, jak raczej świętym, pocziwym, bohaterkim, ale nieopatrzonym poruszeniom, w które nas boleść rzuciła, a cierpienie nad siły popchnęło...”. Przeciwno spiskom tedy i „niewczesnym porywom” stawia zasadę „obrony narodowej, wiary i języka w granicach legalnych” — zatem coś niby załazek przyszłej pracy organicznej. Ten sam sąd, te same argumenty, w podobne nawet słowa ubrane, znajdujemy również i w bezimiennej, dość zresztą chaotycznej i mętnej broszurze Kraszewskiego p. t. „List z kraju, Sprawa Polska w 1861 r.”, wydanej w Paryżu w 1862 r. Wykazując oto potrzebę utrzymania łączności narodowej między trzema zaborami, podkreśla od razu, że łączność ta powinna być jawna, otwarta, również i pracę narodową pod zaborem rosyjskim radzi oprzeć na zasadach legalnych. „Im się to da jawniej uczynić, tym lepiej, bo tajemnice, fałszywe, wykłamywania poniżają ludzi i sprawę, do jawności trzeba dążyć koniecznie...”. Jak sobie Kraszewski tę jawność pracy narodowej pod zaborem rosyjskim wyobrażał, na to żadnych konkretnych wskazań i sposobów nie podaje, tylko, co nasuwa przypuszczenie, że... i ograniczając się do samych ogólników sam ich nie znał. „Co wy robicie”, píše w jednym z późniejszych „Obrazków” — kłamiecie, spiskujecie, a żaden z was nie ma męstwa, gdy go spytają, powiedźcie, że jest Polakiem”. „Nie spiskować nam należało”, czytamy w innym miejscu, „ale głośno prawdę wyznawać”. „Spiski nas gubią, rewolucje wyniszczają...” i t. d.

A JEDNAK OBRONA KONSPIRACJI

Nic to, że w tejże samej „Sprawie Polskiej z 1861 r.” znajdujemy również i zdania przeciwnie, zaprzeczające wręcz poprzednim twierdzeniom, jak np. „Niech to sobie kto jak chce nazwie, myśmy musieli spiskować od 1831 r. i spiskowaliśmy wszyscy, tylko na różne sposoby”, że w pierwszych trzech „Obrazkach” zdaje się z gruntu zmieniać swe przekonania, obwieszczać wszec wobec, że spiski i powstanie w naszych warunkach bytu były nie tylko usprawiedliwione, lecz nawet konieczne, bowiem zbrodnie dokonywane na narodzie polskim samych „aniołów by do rewolucji popchnęły”, że milczenie na prześladowanie w tym stanie rzeczy byłoby wręcz haniebne, że „Polacy zginięci, syci, upokorzeni musieli powstać, aby zaświadczyć przed światem, że żyją, że nie są trupem...”. „Co zaś my winni”, mówi Jadwiga, bohaterka „Pary Czerwonej”, powieści, w której uniesienie Kraszewskiego dosięgło szczytu, „że musimy w ciszy mroku, jak pierwsi chrześcijanie w katakumbach pracować nad odrodzeniem ojczyzny. I tych pierwszych chrześcijan i naszą pracę w tajemnicę spowitą spotwarzać będą i zohydzać” i dodaje zaraz z tak znamienym dla Kraszewskiego naciskiem na etyczną stronę każdego podejmowanego dzieła, „Ale kto się poświęca dla ojczyzny i wstępuje na próg poświęcenia, szale grzesznika musi zrzucić w progę...”. Ta gwałtowna zmiana frontu nie dowodzi jeszcze niczego, odrzućmy bowiem podkład uczuciowego i wrażliwego napięcia, znajdziemy pod nim podstawę stałych i bardziej ugruntowanych przekonań Kraszewskiego nie zmienioną, do której powróci zresztą i na której się oprze w dalszych swoich utworach, nie

dność, bezbronność

spraw powstania styczniowego

wyzbywając się jednak uczuciowego stosunku do „młodych”, mimo odrzucenia ich metod i środków działania. Bowiem będąc przeciwnikiem spisków i „rewolucji”, był też Kraszewski, a ciągle w imię etyki i zasad chrześcijańskich, zdecydowanym przeciwnikiem zamachów, aktów skrytobójczych, przemocy i gwałtu, wszelkich środków słowem przykazaniom Bożym przeciwnych, a przez spisek i „rewolucję” uznanych za słuszne i usprawiedliwione. Ten głęboko pojęty chrześcijańskimi Kraszewskiego kazał mu nawet, godząc się czasem na walkę orężną, gdy ją uzna za konieczną i nieuniknioną, domagać się natęczywie, by stosowane w niej były czyste i uczciwe środki. Młodzież pragnąca płacić wrogom metodami, jakimi z nią walczone, chwytającą się gwałtu, zabójstwa, nienawiści i zdrady, każdego środka słowem w jej pojęciu słusznego i uświęconego celem, uważa Kraszewski za zarażoną duchem obcym — z zachodu, czy ze wschodu, wszystko jedno, lecz nie naszym, nie polskim, wprost przeciwnym duchowi narodowemu. „Nigdy złymi środkami nie idzie się i nie dochodzi się do celu dobrego...”. „Tylko szlachetnymi środkami i szlachetnymi czynami wywalcza się odkupienie z niewoli...”. „Terrorizm despotyzmu i terrorizm rewolucji równie okrutne i równie bezowocne”, woła na wszystkie tony i porównując bojowników o wolność do kapłanów, do wielkich ofiarników ludzkości, żąda, by z czystymi rękoma przystępowali do ołtarza miłości ojczyzny. „Rewolucja musi być czysta, wielka, święta...”. „To, co ma zwyciężyć, musi mieć w sobie przede wszystkim ducha czystego, wielkiego, musi mieć w sobie świętość tylko w imię idei potężnych zyskuje się potęgą” i t. d.

TEORIE KRASZEWSKIEGO

I nie dziwny się znowu po wysłuchaniu tylu wymownych argumentów i nie uważamy tego za jakieś odstępstwo, za zasadniczy wylom w ogólnym światopoglądzie, gdy Kraszewski rozpędziwszy się pod wpływem podziwu dla bohaterstwa walczącej młodzieży, i na tym punkcie również nie pozostaje całkowicie wiernym sobie, usprawiedliwiając w pewnych wypadkach młodzież, zmuszoną chwytania się środkami gwałtownymi. W jednej z powieści asystujemy nawet przy akcie wieszania szpiega, akcie całkowicie przez autora usprawiedliwionym i rozgrzeszonym. Podobne wylomy są zresztą nader nieliczne, naprawdę wyjątkowe, Kraszewski bowiem uznaje wprawdzie, że wróg nie dorósłszy do poziomu powstańców, nie umie ocenić szlachetności i wspaniałomyślności Polaków, mimo to nie uważa tego za powód wystarczający do zwolnienia ich z obowiązku prowadzenia czystej i uczciwej walki. Wprost przeciwnie nawet, przenosząc zasady Ewangelii i na pole walk narodowych, żąda, aby za zło dobrem płacić, nienawiść leczyć miłością, gwałt siłą bezbronności odparać. Wiąże się to w logiczną całość z jego wcale rozbudowaną i dość spójną teorią społeczno-religijną narodową, podaną już w zarysach w „Wieczorach Wołyńskich”, a snującą się poprzez cały cykl „Obrazków” (mimo licznych zaprzeczeń i przekreśleń w nich zawartych).

Według tej tedy teorii Kraszewskiego, teorii zresztą nie nowej i niezbyt oryginalnej, noszącej na sobie wyraźne ślady mesjanizmu, wpływów mickiewiczowskich, a jeszcze bardziej Kraszińskiego, czasy „rewolucji” i walk orężnych przeminęły już bezpowrotnie. „To też rewolucje z pola barykad i walk ulicznych przenieść się muszą na wcale inne, na cmentarze, do izb sądowych, do zgromadzeń publicznych, a zamiast żołnierzy z bronią w ręku walczyć w nich będą nie-

wiasty, dzieci i starcy, kapłani i ginąc z pieśnią triumfu...”. Kraszewski nie ma nadziei, byśmy sobie mogli niepodległość „wyrąbać pałaszem” i nie uważa tego już nawet za najwłaściwszą drogę, wierzy natomiast niezłomnie, że wywalczymy ją duchem, „Wyśpiewamy ją, wyplacemy, wyjęczymy, wywzdychamy w więzieniach”, bowiem nadeszły czasy, gdy „swobodę światu dadzą nie bohaterowie, a święci”. Dochodzimy oto do rdzenia teorii Kraszewskiego. Odrzucając bowiem walkę orężną, walkę na pięści, przeciwstawia jej walkę duchową, jedyną godną tych, którzy się chrześcijaninami mianują, polecając już w „Wieczorach Wołyńskich” — „na duchu się zbroić i wzmacniać, na duchu olbrzymieć i dźwigać się i działać”, każąc szukać celu, siły i środków do spełnienia tego zadania w... Ewangelii. W dalszej fazie twórczości, w „Sprawie Polskiej” oraz cyklu powstańców wydarzenia dziejowe, łącznie z upadkiem powstania dostarczyły mu okazji do rozwinięcia i pogłębienia tej teorii.

„POWSTAŃMY NAPRZÓD DUCHEM, A NIE ORĘŻEM”...

„Powstańmy naprzód duchem, nie orężem”, czytamy w „Sprawie Polskiej” — „bijmy się w więzieniach, w katuszach, słowem, czynem, życiem całym, a tym zmożemy łatwiej nieprzyjaciół, niż dziecinnymi wypadkami niewytłumaczonej rozpaczy”. Ową walkę duchową, której siła leży „W sprawiedliwości sprawy, w idei naszych praw, w męczeńskim podniesieniu ducha, w bezbronności i słabości rąk, w potężnej odniesionymi ranami, krwią, co z niej płynie, duchem, który w niej ziele — piersi”, porównywa z wielkim upodobaniem do życia, pracy i ofiar pierwszych chrześcijan, stawiając ich bojownikiem duchowym za przykład i wzór do naśladowania. Gdyby szepnęła garstka wyznawców Chrystusowych stała się do walki na miecze ze starym światem, los jej byłby przesądzony. Lecz ten zastęp „modlił się w katakumbach, siedł śpijąc w cyrku na zęby i pazury dzikich zwierząt, nocą spełniał ofiary i zmuszony do kłaniania się fałszywym bogom, dopiero wstawał wielki, niezwykły, potężny. Oto jak powinniśmy z pogańskim despotyzmem walczyć — nie jego bronią, nie bagnietami, nie gwintowanymi sztucerami, ale gotowością męczeńską, odwagą cywilną...”.

KUBA—RYCERZ CHRYSZTUSOWY

Symbolem, ideałem, wzorem owej walki duchowej, „które wyszły jak gdyby z duszy narodu”, są dla pisarza wielkie manifestacje narodowe właśnie, których był naocznym świadkiem w latach przed powstańców, „owe pochody z krzyżami, chorągiewkami”, gromadzące w swych szeregach wszystkie stany i wyznania, jedno czące cały naród spokojny, a mocny słuszością swej sprawy, jawnie samą swą postawą głoszący prawdę, gotowy na śmierć i męczeństwo, naród co stawał „przeciwko bagnietom, odkrywając piersi, śpiewając pieśń triumfu...”. W nich, wedle jego zdania, przejawia się prawdziwy duch i instynkt narodu, a kierowała nim Boża Opatrzność. Po tej drodze, jako jedynej właściwej i wiodącej do prawdziwego zwycięstwa, powinien być iść naród. Niestety, zabrakło mu w stanowczym momencie wodzów zdolnych do zrozumienia tej wielkiej myśli przewodniej i utrzymania narodu we właściwej sferze działania, choć naród sam wskazywał drogę i kierunek. Rezultatem niezrozumienia owej wielkiej myśli narodowej było... powstanie, które nawet wedle ściśle

ludzkich obrachunków nie miało żadnych widoków powodzenia, nie mówiąc już o tym, że jedynym orężem, godnym chrześcijanina rycerza, to rezygnacja, ofiara, męczeństwo, to nastawienie gołych piersi przeciwko szablom i bagnietom. Takim właśnie rycerzem chrześcijaninem jest młody akademik Kuba z „Moskala”, w którego usta wkłada Kraszewski przeważnie swe własne przekonania. Kuba jak prawdziwy rycerz Chrystusowy, wierzący „w siłę ducha tylko i w zwycięstwo ducha”. Bo Kuba jest nie tylko bohaterem, ale i świętym zarazem, gorącym patriotą, lecz i niemniej gorącym chrześcijaninem, więc też staje do walki z wrogiem uzbrojony tylko miłością i przykazaniami Bożymi. Dla Kuby oswojenie Polski z kajdan, a rozkrzewienie chrześcijaństwa, „jest to dalszy ciąg tych samych dziejów po prostu”, inny odcinek tej samej, wiecznie żywej i odradzającej się rzeczywistości. Chrystus dał równe prawo do życia jednostce, jak i narodom, Polska ma zatem święte prawo stawać w obronie swej pogwałconej wolności, tylko środki muszą być dostosowane do wielkości celu — jak same cele wielkie, czyste i święte, wtedy zwycięstwo jest pewne. „Dajcie mi stu świętych ludzi”, woła Kuba w uniesieniu, „a zawojuję świat”. Męczeństwo, ucisk, prześladowanie, lata niewoli nawet mogą stać się czynnikami bardzo twórczym i pozytywnym w życiu narodu, jeśli potrafi on w nich wyczytać wielką myśl Bożą. „Upadlibyśmy i zgnili, gdyby nie to męczeństwo nieustanne, dające nam nowe siły, dziękujemy za nie Bogu, bo w nim urosliśmy i rosnemy i olbrzymiejemy co dzień, a rozsiani po szerokich przestrzeniach apostołujemy idei Pańskiej”, „...jak pierwsi męczennicy katów robili współwyznawcami sprawy, która się męstwem i wytrwałością odznaczała, tak my z bezdusznego żołądactwa cierpliwością i gotowością na męczarnie czynimy apostołów... i t. d. Obowiązek etyczny - religijny względem nieprzyjaciół wynika już stąd jasno, jak na dłoni. „Nie mnożmy nienawiści narodowych, nie jęczmy Rosjan, nie poruszajmy ich namiętności. Naszym postępowaniem jest nawracać, nie odpychać, być pomostem swobody i miłości, nie zaś niewoli jednych przeciw drugim i nienawiści bratnich...”. „Uczyńmy przemocą i gwałtem miłości wielkiej”, woła w zakończeniu „Sprawy Polskiej”, „czego przemoc i gwałt siły zrobić nie potrafią, obcych braćmi, wrogów przyjacielmi, oprawców sprzymierzeńcami, a zmartwychwstanie Polska...”. „Nie siła i nie oręż, ale miłość zwycięży Rosję”, mówi w innym miejscu.

OPATRZNOŚCIOWA ROLA ROSJI W DZIEJACH POLSKI

Skoro wszakże dzieje całej ludzkości są objęte planem Bożej Opatrzności, jak w to Kraszewski niezłomie wierzy, nie tylko tedy Polska ma obowiązki względem Rosji, ale i ona również ma swoją rolę opatrnościową w dziejach Polski, którą z wolą, czy bez woli, a najczęściej wbrew istotnym intencjom wypełnić jednak musi. „Nie wiedzą Moskale, ilu oni nam dali i zrobili patriotów, ilu dobrych Polaków mamy z ich łaski, ilu obojętých nawrócili, rozgrzali zastygłych, bojaźliwych ośmielili... Nikczemni tylko (bowiem) dają się zgnieść bólem i prześladowaniem, szlachetniejsi podnoszą się pod naciskiem...”.

Polska mniej wszakże jeszcze od innych narodów potrzebowała podźwignięcia się i odrodzenia. Wępież też rąla oczyszczonego męczeństwem narodu nie ogranicza się do apostołowania Rosji jednej. Jego misja dziejowa ma rozleglejsze krańce, ma obejmować ludzkość całą. Tu rola emigrantów polskich, wyrzuczonych z ojczyzny, idących ze swą nędzą, cierpieniem i opuszczeniem między wygodne, egoistycznie zamknięte w sobie narody, mogłaby być ogromna, gdyby wszyscy potrafili się wznieść na wskazywane przez Kraszewskiego wyżyny. I

znowu zgodnie z wyznawanymi zasadami, jako jedyną broń w walce z zimną obojętnością ludzi, wkłada autor w serca wygnaneńców męstwo, cierpliwość i ciche, ofiarne cierpienie bez słowa skargi, tym ofiarniejsze, że niejako w imieniu i dla dobra całej ludzkości znoszone... Cóż stąd, jeżeli nawet, jak chcą niektórzy, świat nie ruszył się z miejsca od czasów Nerona i Kaliguli, jeżeli Ewangelia nie przeorała ludzkości do głębi, jeżeli pozostała „ona istotnie dla znacznej większości — tylko „ładną książką w safianowej okładce”, a przykazanie kochaj bliźniego wciąż jeszcze „nie obowiązuje ani dyplomatów, ani sędziów trybunałów wojskowych i rewolucyjnych, ani ministrów...”, nawet gdyby świat był istotnie takim — „w tym stanie rzeczy potrzebny był naród, co by umiał się poświęcić dla wolności, dla prawa, chociażby dla mrzonki nawet... ale poświęcić się i dowieść, że jeszcze krew może się przelewać więcej gdzieś, niż u cyrulika po pijawkach... Polska występuje nie w swoim tylko interesie, ale w imieniu ludzkości sponiewieranej, zgniecionej i lubującej się w swych więzach i upodleniu... Europa wreszcie, gdy się upodli do ostatka, podnieść się musi i zasrómać i ryknąć ze wstydu... Mimo Bismarcków i Mocnych świat będzie wolnym, Polska niepodległą, a Moskwa konstytucyjną, albo republiką... Cóż znaczy rok, dwa i dziesięć, gdzie są wieki... przecierpimy... przeczekamy... ludzkość pójdzie, gdzie ją woła przeznaczenie... przez trud i walkę do panowania prawa...”.

DWIE ZASADNICZE PRAWDY

Tak oto wyglądają w najogólniejszych zarysach prawdziwe, istotne poglądy Ignacego Kraszewskiego na sprawę walki i zrywu powstańczego, oczyszczone z chwilowych wpływów i naleciałości. Wynikają z nich jasno dwie zasadnicze prawdy, że Kraszewski był jednak w zasadzie przeciwnikiem wszelkich spisków, jak i walki orężnej — powstania, i że jedyną walką, jaką w pełni uznawał, była walka duchowa, od której też zwycięstwa uzależniał przyszłość Polski.

Teoria piękna, szkoda tylko, że zbyt nieuchwytna, rozplywająca się w mglistych, idealistycznych ogólnikach, a trzeźwej, jasnej myśli politycznej w sobie nie zawierająca.

Kraszewski reprezentuje klasyczną dla wielu polskich środowisk niezaradność i bezbronność wobec dziejowych wydarzeń. Chce zwycięstwa ducha polskiego w świecie, ale narzędzi niezbędnych do walki określić nie umie. Pojęcia celowości i odpowiedzialności za skutki prowadzonego działania w danych okolicznościach są mu słabo znane.

Wanda Kieszkowska

Od Administracji

Zawiadamiamy, naszych P. T. prenumeratorów, że wobec zwiększenia objętości naszego pisma jesteśmy zmuszeni podnieść od dnia 1 lipca r. b. cenę prenumeraty na zł. 60.— miesięcznie, 180.— kwartalnie. Pojedynczy numer kosztuje 20.— zł.

Zdzisław L. Stróński
(Mnrek Chmura)

CZY KRYZYS?

O t. zw. upadku literatury w dwudziestolecu

Wypowiedź Stróńskiego, jaką po dajemy, ukazała się w lipcowym, ostatnim, wyszłym na dzień przed wybuchem Powstania, numerze „Sztuki i Narodu”. Mimo tego nie straciła nic na aktualności i wnosi pewne wartości do dyskusji na temat literatury dwudziestolecia.

REDAKCJA

Stojąc u progu nowej epoki — albo, mówiąc mniej patetycznie i ostrożniej — stojąc u progu okresu, o którym wszystko zdaje się świadczyć, że będzie nowym — zwykliśmy oglądać się za siebie.

Dwudziestolecie jest pojmowane naogół jako okres kryzysu literatury, czy może wogóle kultury polskiej. Czy kryzys ten miał miejsce rzeczywiście, czy może tylko po opadnięciu patriotycznych draperii, podpórek i szcudeł, rzeczywistość ukazała swoje oblicze takie... no, takie, jakie je widzieliśmy? Bo dwudziestolecie ukazało nam dwie prawdy — jak bardzo mały jest krag polskiej kultury, to znaczy jak mało ilościowo i klasowo zakres ludzi obejmuje i jak mała i słaba jest ona sama — ta polska kultura. Zaskoczyło nas to tym bardziej, że tak byliśmy z niej dumni i pewni jej mocy, rozumiejąc mniej więcej w ten sposób: — jakże silną ona jest, skoro w ciężkich warunkach niewoli potrafiła zdobyć się na takie osiągnięcia, jakże wielką jest literatura, która potrafiła stać się głównym nurtem życia narodowego i jego bodaj głównym motorem. — A tu okazało się, że swoją wielkość ta literatura zawdzięczała właśnie pochłonięciu całego życia narodowego, a z chwilą, gdy to życie odplynęło od niej w rzeczywistość państwową i została literatura i tylko literatura, że jest ona właśnie taka, jaką ją widzieliśmy w dwudziestolecu.

Powie kto pewnie, że upraszczam, wyjaskrawiam i przesadzam. Może będzie miał nawet trochę racji. Ale niewiele. Chodzi o to, że literatura nasza naskutek nastawienia na ton pewnego panpatriotyzmu, a nawet wieszczenia umożliwionego, ba, często może i narzuconego niewolą — na odcinku normalno - literackim została po prostu w tyle. A gdy ten panpatriotyzm (o charakterze jaskrawo wyznaczonym b r a k i e m niepodległego bytu państwowego) przyszło złożyć z należytymi honorami do muzeum narodowego — powstała dziura. Ze próby zapychania tej dziury łapanymi na łeb, na szyję, a najczęściej zupełnie od wierzchu bieżącymi (lub, co gorsza, przebrzmiałymi cośkolwiek) aktualnościami ze wschodu i zachodu, kończyły się naogół niepomysłnie — to nawet dość naturalnie. Istnienie tej pustki literackiej dwudziestolecia wyczuwali często zupełnie wyraźnie. Było to uczucie osamotnienia, powodowane brakiem zaplecza, brakiem tradycji. Zachnie się ktoś na to pewnie: — jako, czy rzeczywistość literatury okresu niewoli jest tak odległym lądem, czy naprawdę te wspaniałe jej osiągnięcia nie są zapleczem, na którym się można było oprzeć bezpośrednio, nie są odskocznią do dalszego świetnego rozwoju? — A poza tym, czy wszystkie dzieła literackie tego okresu zajmowały się wyłącznie problemami niepodległości Polski? — Żeby odpowiedzieć na to narzucające się pytanie, trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że utrata niepodległości zastała odradzającą się właśnie w okresie stanisławowskim literaturę, opanowaną przez dydaktyzm (o charakterze zresztą bardziej moralno - społecznym, niż narodowo - politycznym). To przejście bezpośrednie od służby dydaktyzmowi do służby Sprawie przy braku tradycji literatury czystej, dało pewną specyficzną aurę, która rozciągała się i na utwory z problematyką narodowo - społeczną nie związane bezpośrednio. (Np. jedną z cech bynajmniej zresztą niekoniczną, ani wyjątkową, był fakt, że bohaterem bywał nie człowiek, a idea, mimo, że niby pisało się o człowieku. Był on oświetlany pod kątem idei, a nie odwrotnie, (że o pierwiastku wieszczym nie wspomnę). Byli wtedy nawet ludzie, którzy w Ligii z Quo vadis chcieli widzieć symbol Polski! Próby zerwania z tą aurą były najczęściej raczej skutkiem mechanicznego importowania kierunków zagranicznych, powstałych w

innych warunkach, niż rzeczywistymi próbami świadomej walki na gruncie literatury rodzimej. Zresztą były one krótkotrwałe i niekonsekwentne.

Znaleźliśmy się w dwudziestolecu w takiej sytuacji, że literaturę trzeba było pod wieloma względami tworzyć prawie od nowa, a jednocześnie doganiać przecięć i Europę. I to bez oparcia o tradycję rodzimą, a nawet wbrew tej tradycji, bo ciągnęła poza literaturę, w publicystykę narodową i dydaktykę. Gdyby jeszcze rzeczywistość narodowa choć w części była tak pochłaniająca, jak tamta z okresu niewoli, byłoby możliwe jakieś przejście, jakaś stopniowość stawiania się literaturą jako taką normalną. Ale ta rzeczywistość była tak nijaka, że próby stosowania do niej podejścia, jak do tamtej z okresu niewoli, kończyły się jak tragiczna w fałszywości swego patosu „wolność tragiczna”.

Doganianie szło głównie po linii najslabszego oporu — formizmu. Wymowną ilustracją tego jest fakt, że pierwsze miejsce (wg. obliczenia Czernika) pod względem ilości zajmowały w lirycie wiersze o... pogodzie.

Ale po odzyskaniu niepodległości ujawniły się nie tylko słabości naszej literatury, ale i nikłość kręgu jej odbiorców. W ciągu 20-lecia ilość czytelników potencjalnych, t. j. umiejących czytać, wzrosła o 60 proc., do 12 milionów, a jednocześnie nakład roczny książek, zaliczających się do literatury, zmalał o 40 proc., do 4

milionów! Co się stało? Dlaczego ludzie przestali czytać? Czy to kultura polska zaczęła się walić?

Rzecz przedstawia się bardzo prosto, choć nie wszyscy może sobie ją uświadamiają. Zainteresowanie książką było w Polsce pod trzema zaborami sztuczne — nie dla literatury, a dla życia narodowego, które wyparte z rzeczywistości, schroniło się do niej. Bo przecież kultura, a w szczególności literatura, to była jedyna płaszczyzna, na której to życie narodowe mogło się utrzymywać, czy nawet rozwijać. Rozumiano też, że Polska cała skupiła się w kulturze polskiej, że polskość można utrzymać tylko poprzez utrzymanie kultury. Jednym słowem kto trzymał się polskości, ten garnał się do literatury. Ale z odzyskaniem bytu państwowego literatura straciła funkcję podtrzymywania polskości, gdy życie narodowe odeszło w rzeczywistość polityczną, odeszli z nim i ci pozorni konsumenci literatury, którzy w rzeczywistości byli konsumentami tylko polskości. Rynek czytelnicy zmniejszył się nie tylko o nich. Bo niechęć, czy nawet pogarda, jaką czytelnicy tego rodzaju zaczęli daryć literaturę współczesną, nie znajdując w niej tego, czego szukali (t. j. rozwiązań problemów politycznych) przy jednoczesnym braku entuzjastów (może trochę i uzasadnionych?), wytworzyła wokół niej atmosferę niechęci dość ogólnej, co spowodowało jeszcze silniejsze zmniejszenie się nakładów.

O tym, że czytelnicy uciekli od litera-

tury do normalnego życia państwowego, a nie do lasu, świadczy fakt, że przy tak wydatnym spadku nakładów książek — ilość czasopism wzrosła czterokrotnie.

Zmniejszenie rynku czytelniczego pociągnęło też za sobą nędzę literatów, zmużając nawet wybitnych twórców do pracy zarobkowej, lub szukania innych źródeł utrzymania. Tylko około 15 proc. literatów (z tego czwarta część to tłumacze) mogła żyć z literatury. I to oczywiście niekonicznie ci najwybitniejsi.

Reszta pracowała po biurach, po gminarzach i t. p. (Dane wg. „Życie i praca pisarza polskiego”, na podstawie ankiety Z. Z. L. P.).

Trudne (i czy wogóle możliwe?) jest w tej chwili wartościowanie spadku, jaki otrzymaliśmy po 20-leciu, na odcinku literatury i tradycji literackiej. Niewątpliwie jednak w spadku tym, mimo niektórych stron ujemne, np. zanik poczucia odpowiedzialności, będący reakcją na przerosł tego uczucia w okresie niewoli — otrzymujemy wiele wartości chyba nie przemijających.

Zresztą przy lekturze dostępnych nam dzisiaj utworów literatury współczesnej narzuca się spostrzeżenie, że literatura ta nie jest spadkobierczynią tylko dwudziestolecia, ale także i — jak się ją zwykle określa — wielkiej literatury, co nie jest może wynikiem jedynie analitycznej rzeczywistości narodowo-politycznej i pojęcia za romantycznymi szablonami.

(„Sztuka i Naród” — lipiec 1944).

Z KSIĄŻEK

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA”, WARSZAWA

Jan Kasprowicz — KSIĘGA UBOGICH, wydanie nowe, str. 126.

Jan Kasprowicz — WYBÓR POEZJI; ułożył Leopold Staff, str. 151.

Anatol France — WYSPA PINGWINÓW, tłumaczył Jan Sten, str. 280 + III.

John Dos Passos — MANHATTAN TRANSFER, tłumaczył Tadeusz Jakubowicz, z przedmową Sinclaira Lewisa, str. 517.

Jerzy Plechanow — O ROLI JEDNOSTKI W HISTORII, Biblioteka Socjalizmu Naukowego, str. 60.

Zofia Żurakowska — JUTRO NIEDZIELA, opowiadania, str. 78.

Artur Sandauer — ŚMIERĆ LIBERAŁA, opowiadania, str. 185.

J. G. Fiesenkow — KOSMOGONIA UKŁADU SPOŁECZNEGO, tłumaczyła dr. Hanna Smuszko, Biblioteka Popularno-Naukowa Nr 12, str. 221.

ZBIOREK PIEŚNI — str. 31.

Tadeusz Sokół — POCISK I LIRA, str. 76.

Komarow Włodzimierz — Z DZIEJÓW BIOLOGII, tłumaczył Włodzimierz Michajłow, Biblioteka Popularno-Naukowa Nr 10, str. 131.

Barski Jerzy — NA WIELKIEJ FALI, zbiór felietonów naukowych, seria II, str. 160.

K. Marks i F. Engels — MANIFEST KOMUNISTYCZNY, Biblioteka Klasyków Marksizmu, str. 112.

WYDAWNICTWO GEBETHNER I WOLFF WARSZAWA

Juliusz Kaden-Bandrowski — MIASTO MOJEJ MATKI, str. 144.

Józef Bieniasz — LAWINA IDZIE, powieść sportowo-turystyczna, str. 177.

DUCH PUSZCZY, opowiadania z borów amerykańskich, wg. d-ra Birda, opracował Wł. L. Anczyz, wydanie 15, z 6 ryc. St. Sawiczewskiego, str. 228.

WYDAWNICTWO EUGENIUSZ KUTHAN, WARSZAWA

Stanisław Furmanik — PODSTAWY WERSYFIKACJI.

Edward Marzec: WNUCZEK ORZE — Zwązek Zawodowych Literatów Polskich, oddział wiejski, Kraków, str. 38, r. 1947.

H. Haluszkha: W CZTERY OCZY — wydawnictwo ks. Jezuitów, Warszawa, przekład Zofia Starowiejska-Morstinowa, wyd. II, str. 112.

Wojciech Zukrowski: PORWANIE W TIUTIURLISTANIE — Wydawnictwo Księgarni Kamiński Stefan, Kraków, ilustrował Adam Marczyński, str. 260.

Ks. Dr. Józef Umiński: KRÓLESTWO BOŻE NA ZIEMI — krótka historia Kościoła Powszechnego, cz. I, Księgarnia Naukowa T. Szczęsny i S-ka, Toruń, str. 152, r. 1947.

O. Stanisław Wójcik Redemptorysta: KSIĘGA PSALMÓW oraz PIEŚNI BIBLIJNE BREWIARZA RZYMSKIEGO wg. najnowszego przekładu łacińskiego z tekstów pierwotnych, tłum. ze wstępem i objaśnieniami str. 344, r. 1947.

Al. Rogalski: JUŻ NIGDY WIĘCEJ — z przedmową Grzymały-Siedleckiego, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań, str. 104, cena 160, r. 1947.

PRACOWNIE NAUKOWE SZKOŁ WYŻSZYCH W POLSCE 1945-46, Ministerstwo Oświaty, prace biura badań i statystyk, pod redakcją D-ra Mariana Falczyka, Skład Główny: Państw. Zakłady Wydawnicze Szkolnych, Warszawa, r. 1947, str. XXVIII + 218.

W NATARCIU

KRYTYK I GEOGRAFIA

Metafora znana, jasna i przekonująca: „Krytyk jest geografem kultury”. Pragnęlibyśmy ujrzeć „z lotu krytyka” zawile drogi i ścieżki, potoki i rozlewiska, wzniesienia i depresje kraju naszych tworow duchowych. Pragnęlibyśmy wiedzieć, w jakiej „okolicy” położone jest to lub inne dzieło sztuki i w jakiej pozostaje proporcji do otaczającego świata. Wnikliwie zanalizowanie dzieła, rozpatrzenie z bliska składowych jego elementów wydaje się zazwyczaj tylko czynnością wstępą.

Wyciągniemy jednak z naszej metafory logiczne konsekwencje. Krytyk ma jedną fatalną niższość, w porównaniu z geografem: nie może podać — z matematyczną ścisłością — skali swojej „mapy”. Kiedy w atlasie widzimy krętą, błękitną żyłkę — to wystarczy nam stwierdzić: skala 1:300, albo 1:100000, żeby wiedzieć, że w pierwszym wypadku chodzi o strumyczek, a w drugim o potężną rzekę. A kiedy czytamy (albo piszemy): „bardzo dobra książka” — to zapominamy często zapytać samych siebie, czy chodzi tu o skalę „Literatura światowa”, czy „Europa współczesna, czy „Polska”, czy może „Własne podwórko”? Niestety — rozporządzamy ograniczoną ilością określeń wartościujących — a rzadko kiedy pamiętamy, że nabierają one całkiem innego znaczenia w zależności od tego, czy oglądamy z bliska mały odcinek kultury, czy też ogarniamy z wysoka rozległe jej horyzonty. Obawiam się, że w tym stanie rzeczy zdarzają się częste nieporozumienia. Że czytelnik jest skłonny uważać określenie „świetny” pisarz, albo „znakomity” publicysta, lub malarz, za określenie położenia „bezwzględnie” i zapomina o poprawce na — skalę. Zapomina też o niej, podziwiając ilość papieru, posługoną omówieniu tego, czy innego twórcy. Co gorzej, podejrzewam czasem (z góry przepaszam, jeśli moje podejrzenie jest niesłuszne), że sam „świetny” lub „znakomity”, czytając o sobie, zapomina o tej poprawce. Oczywiście utrudnia mu to ocenę własnej działalności, a właśnie w tym pomóc ma twórca — krytyka.

Jakież środki zaradcze możnaby znaleźć na to niedomaganie... geograficzne? Wydaje mi się, że nie dość unikać wysłowionych epitetów, lub precyzyjnym katem określać — pośrednio — ich wąskość (mówię ciagle o problemie „skali”). Krytyka powinna szukać jak najwięcej „punktów odniesienia”: powinna ogarniać jak najszersze tereny. Czy ma sens robić zbyt często pomiary własnego podwórka? Brakuje nam niezmiernie „map” krytycznych w większej skali. Przede wszystkim na ów brak chciałbym zwrócić uwagę w tym artykule.

*

Oczywiście krytyków tak wysokiego lotu, o jakich w tym wypadku chodziło, widać się niewiele. Wymazanie horyzontów światowych, to znaczy wyznaczenie naszych zjawisk kulturalnych na tle

wielkich zespołów takichże zjawisk, zachodzących w świecie, to wymaganie najwyższej — rzeczywistości: najwyższej — mądry. Ale, jak powiedział gdzieś Tolstoj, „stopień przybliżenia się do ideału jest dla nas niewidoczny; widoczne są tylko odchylenia od ideału”. Otóż sądzę, że odchylenia dzisiejszej naszej krytyki od tego ideału najwyższej mądry są istotnie zaskazujące. Mnóstwo słów — czasem mądrych, zresztą i subtelnych, ale czy warto? — mnóstwo słów na temat stosunku kłótni, a tam gdzie, po świecie, wychodzą książki, może nie najznakomitsze, ale bądź co bądź — jakieś książki! Powstają utwory muzyczne, ukazują się nowi w rytuozii, nowe obrazy, nowe problemy! Wiemy o tym wszystkim rozpaczyliwie mało.

Świat się kurczy. Odrutowane granice są groźnym, trupiejącym memento zdarzeń, od których radzibyśmy odejść jak najprędzej. Coraz silniej odczuwamy współzależność wszystkich kątów globu. Słowa „jednolita” i „uniwersalna” kultura nasycają się coraz intensywniejszym znaczeniem. Choć są bowiem dotychczas tylko postulatem, jednak postulatem logicznym i koniecznym. Ale nie wyciągamy z tej konieczności wniosków praktycznych.

Zali się kją w „Odrodzeniu” na brak narybku krytyków literackich. A cóż dopiero mówić o muzyce, a co o plastyce? Ci nieliczni, którzy zabierają rozsądnie głos w tych sprawach, coraz częściej ograniczają się do powtórzenia znanych wywodów historycznych i do wypisania listy nazwisk.

Trzeba nam kontaktów ze światem! Więcej książek! Więcej dobrych tłumaczy! Więcej wystaw zagranicznych! Więcej w wyjątków!! Krytyk literacki może od biedy czytać na miejscu choć nie zastąpi mu kontaktów osobistych, odmiennej atmosfery i — perspektywy. Ale jak ma się wychować krytyk artystyczny — i wogóle kulturalny odbiorca sztuki — który nigdy nie widział Louvru?

Jeszcze jedno słowo, które chciałbym dorzucić do tej garści uwag, wracając do sprawy „skali podwórka”. Chodzi o publicystykę... Któż Was wyśpiewa, drobne zawiści, ordynarne wycieczki osobiste (by wają i na tych szpaltach takie nieładne rzeczy), wyrzki ferowane absolutnie z wysokości własnego nosa, dwuznaczne ukłucia, „homeryckie” (...) boje — na które czytająca publiczność patrzy, jeśli patrzy wogóle, jak na walkę cyrkowych pcheł? Podwórko. Nedźnie wietrzzone wąskimi na świat okienkami! Myślę, że wiele z tych spraw zmalałoby szczęśliwie, gdyby użyć trochę większej — skali.

I tu wracam znowu — od tej „publicystycznej” dygresji — do sprawy początkowej. „Krytyk jest geografem kultury”. Pomysłowy nad tym, żeby pracując w skali własnego podwórka, nie został jedynie tej kultury — geografia.

JACEK WOŹNIAKOWSKI

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło ³⁾

Ostatnie chwile Starego Miasta

DECYZJA ZAPADA

Dotąd wszystkie zamierzenia przebicia się były krwawo okupione i załamwały się w ogniu broni maszynowej, artylerii i moździerzy.

— Nie wierzę, wyznaje pułkownik Wachnowski w czasie rozmowy w rok później, aby przebicie mogło się udać. Pierścien niemiecki wokół Starówki w ostatnich dniach spotężniał. Nieprzyjacieli spodziewano się, że będziemy czynili rozpaczliwe próby wyrwania się z kotła, czy zerwania wału odgradzającego od innych dzielnic, zwłaszcza od Żoliborza, skąd otwierały się dla nas dalsze możliwości walki.

Niemcy mieli wieloletnie doświadczenie w zamykaniu i likwidowaniu w kotłach przeciwnika, świetnie uzbrojonego i licznego. I w tych sposobach walki do niedawna nikt nie mógł im dorównać. Oddziały powstańcze były ciężko skrwawione i wyczerpane nieustanną walką, cierpiały na chroniczny brak amunicji. Można było liczyć tylko na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, lub uśmiech wojennego szczęścia.

Po południu 30 sierpnia zostaje wydany specjalny rozkaz operacyjny. Podaje on najdokładniej organizacyjne i techniczne szczegóły przebicia się oddziałów ze Starego Miasta do Śródmieścia.

Uderzenie nastąpi dwoma kolumnami. Na czoło postępować będą grupy szturmowe, najlepiej uzbrojone i zaopatrzone. Utorują one drogę dla kolumn nieuzbrojonych oraz dla lekko rannych. Są dwa kierunki uderzenia. Ustalona jest trasa. Prawa grupa szturmowa pod dowództwem mjr. Sosny z domów na Długiej, przez Tłomackie dotrze na Plac Bankowy, z tym, że będzie stanowiła osłonę od strony pałacu Mostowskich. Lewa grupa ppłk. Radosława, z podstaw wyjściowych w zabudowaniach Banku Polskiego, wykona skok na drugą stronę Bielańskiej wciągając się aż do Senatorskiej ruiny, a stamtąd do szpitala Maltańskiego i przez Plac Bankowy. Będzie on już w rękach powstańców, gdyż oddziały pod dowództwem mjr. Witolda przejdą kanałami i uderzą na tyły stanowisk niemieckich. Z Placu Bankowego trasa będzie wiodła na Przebieg i Hale Mirowskie, następnie przez Skórczaną do Krochmalnej. Tam już znajdują się powstańcze barykady.

Równocześnie będą uderzały oddziały powstańcze ze Śródmieścia w stronę Hal Mirowskich i Placu Bankowego. Bardzo ważny jest manewr zaczepny oddziału powstańczego na tyły nieprzyjaciela na Placu Bankowym. Nieprzyjacieli wzięty w krzyżowy ogień powinieli być zniszczeni, a przejście sforsowane.

CHRYSTUS WŚRÓD POWSTAŃCÓW

W końcu sierpnia zmrok wcześniej zapada, noc są jasne, a niebo bywa usiane gwiazdami, ale tutaj od wielu dni wszystko przesłaniają nisko ścielące się dymy.

Następują upragnione chwile wytchnienia i spokoju. Nie szerzy spustoszenia najcięższa artyleria, moździerze, miotacze min. Nie ma nalołów; słychać tylko nekający ogień artylerii polowej, giuche trzaski granatników.

O tej porze staromiejska dzielnica napelnia się dziwnym życiem. Z piwnic i spod zwalów gruzów coraz to wyłaniają się postacie z kubełkami, konewkami i najdziwniejszymi naczyniami na wodę.

Potykać się w ciemnościach o świeże mogiły, krzyże, ciała niepochowanych, o usypiska cegieł, kamieni, ciągną grupkami w dół ku brzegom Wisły, gdzie znajdują się nieliczne studnie — przed wieloma dziesiątkami lat zasypane, zawałone i zapomniane, teraz z niemałym trudem odkopane. Trzeba stać długie godziny w niekończących się ogonkach, aby zdobyć konewkę mętnej wody.

Któregoś dnia pada bomba tuż przy studni w ciasne podwórze zapachane ludźmi. Znaleźli śmierć tak jak stali stłoczeni, jedni przy drugich, trzymając w zaciętych tych kurczowo rękach naczynia. Bury kurz delikatnie okrył poszarpane ciała, wykrzywione usta, wyszły z orbit oczy.

Wielu ludzi szuka napróżno miejsc mniej zagrożonych i spokojniejszych.

Rozlegają się odgłosy komend, tętnią mocne żywe kroki, jeden po drugim, gęsiego idą szybko uzbrojeni chłopcy w hełmach i panterkach.

Pod osłoną nocy odbywa się luzowanie placówek, tranzlokacja oddziałów.

Przez ulicę Długą, zasłaną niewypałowkami, przesuwa się grupki dziewcząt, noszących rannych.

Na Freta wysokie usypisko ruin rozbrzmiewa licznymi głosami, jękiem, łomotem i stukaniem kilofów, dźwiękiem łopat. Odkopują tu zasypanych. W ogrodzie Krasieńskich wyrósł zagajnik najróżnorodniejszych krzyży na mogiłkach. Obok, na placu Krasieńskich, gromada szepcze molidwy za umarłych, błyszczy świece. Na wolnym skrawku ziemi chowają zabitych.

Przy barykadach krzątają się cicho grupki ludzi. Naprawiają szkody i umacniają stanowiska.

Wszędzie wre gorączkowa praca i nerwowy ruch.

Gromady ludzi śpieszą na Mszę św. do obszerniejszych schronów i piwnic. Kapłani nieustannie spowiadają obrońców i mieszkańców, udzielają Komunii św.

Ciemny niski loch. Kamienne łukowe sklepienie. Pokotem leżą ciężko ranni po wstańcy, jeden obok drugiego, na przegniłych barłogach.

Z wiecznie zalegających mroków dochodzą nawoływania, rozpaczliwe prośby, skargi niecierpliwego bólu, błagania, rzęzenie konających.

Czasem gdzieś błysnie słabe światelko, ale szybko gaśnie z braku tlenu. Cuchnie tu ropą, krwią i wydzielinami.

Od wielu godzin wśród rannych przesuwa się kapłan. Ledwie gdzie może postawić nogi, tak leżą pokotem stłoczeni w ciemnościach i w dławiającym zaduchu.

Po omacku, delikatnie dotyka głów, rąk i nóg, aby nie urazić, nie nastąpić.

— Jestem księdzem — mówi. — Czy chcesz wyspowiadać się?

Słucha szepcących spieczonych warg. Spowiada i rozgrzesza w imię Boże... in articulo mortis.

...Niech się zmiłuje nad Wami Bóg Wszchemogący, a odpuściwszy grzechy wasze, niech Was doprowadzi do żywota wiecznego.

Potem kilka słów religijnej pociechy. Znow przystępuje do następnego. I tak od wielu godzin, bez przerwy i bez wytchnienia.

Ledwie już trzyma się na nogach, głowa mu ciężka jak ołów. Ogarnia znużenie, męczą go sny na jawie, dręczy niepokój. Czy starczy mu sił dla wszystkich? Skupia się w ostatecznym wysiłku i opanowuje mękę utrudzonego ciała. Jeszcze je den ranny pozostał. Jedna dusza niepojednana z Bogiem. Nachyla się nad nim w ciemnościach. Nie słyszy szepcących warg, nie czuje gorącego oddechu. Przyszedł zapóźno.

Delikatnie przesuwa ręką wzdłuż ciała. Jest zimne jak lód i dziwnie stężałe. Zapewne dawno już leży tutaj na kamiennej posadzce. Zapomniano o nim. Trzeba je stąd zabrać! Nie może dłużej pozostać wśród żywych.

— Może macie zapaliki? — zapytuje. Po chwili ciemności rozjaśnia nagle błysk światła.

Ksiądz widzi przed sobą figurę cudownego Pana Jezusa, okrytą płaszczem żołnierskim. Pada na kolana. Chrystus wyniesiony został z płonącej katedry. Obył swoją krzyżową drogę ulicami Starego Miasta w krwawych blaskach pożarów, przy świetle pocisków, wśród łez i modlitw towarzyszącej Mu garstki ludzi. Teraz zdjęty z krzyża spoczywa na kamiennej podłodze w piwnicy. W najstraszliwszej udręce i poniewierce wraz z ludźmi — ich Bóg. Kapłan przywiera ustami do przebitych rąk i nóg Pana i płacze: Chryste, Chryste, Chryste...*)

(*) Szczegół ten oparłem na fragmencie pamiętnika nieznanego kapelana Starówki, który opublikował St. Tw.).

U RELIKWI ŚW. PATRONA

Z kwatery dowództwa Warszawa — Północ, przy kościele św. Jacka wychodzi pułk. Wachnowski i Ojciec Paweł. Idą w milczeniu. Pochłania ich jedna jedyna myśl — jutrzejszej próby przebicia się.

Dzień dzisiejszy nie przyniósł większych zmian. O świcie uderzył batalion im. Czarnieckiego na ratusz, w zaciętej walce odzyskał główny budynek; dwie bramy. Obsadzono część ruin pałacyku Blanka, jak długo zdołają się utrzymać?

Ciężkie walki toczyły się w rejonie Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, poza tym gorąco było na barykadach Długiej i Bielańskiej. Wysunięta reduta Banku Polskiego najwięcej ucierpiała od bombardowania lotniczego. Część załogi znalazła śmierć pod gruzami — dowódca kpt. Zdan został ciężko ranny, jednak placówkę utrzymał. Stąd jutro wyjdzie natarcie — stąd będą próbować przebić się do Śródmieścia.

Na Nowym Mieście nasze oddziały odebrały nieprzyjacielowi kościół Najświętszej Marii Panny, który poprzedniego dnia utracił.

Nie zmienia to jednak sytuacji na lepsze.

Przez rozdarty strop i strzępy wiązań co chwila rakiety rozświetlają ciemne, wysokie nawy, ukazując potrzaskane ołtarze. Przy jednym z nich kapłan w ornatcie siwym od kurzu, odprawia Mszę św.

Kamienna figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku porąbana jest odłamkami, jak gdyby od ciecía miecza.

Pelgają wątle światelka ogarków po wymizerowanych i ziemistych twarzach ludzi, leżących pokotem na posadzce.

Na stopniach ołtarza lekarz dokonywuje własnie operacji. Przy blaskach świecy, kraje rannego na żywca, bez narkozy, dwóch chłopców silnie trzyma operowanego za głowę i nogi.

Płomień miga od przeciągów i podmuchów, choć sanitariuszka, przystania go ręką.

W rozwalonym konfesjonale siedzi młoda matka z niemowlęciem. Maleństwo zanosi się od placu. Napróżno szuka ustami pokarmu w wyschłej piersi matczynej. Krzyk maleństwa i rozdzierające ryki operowanego nie dają skupić myśli. Pułkownik odzywa się do ojca Pawła:

— Nie wierzę, aby udało się to nasze przedsięwzięcie, chyba uśmiech wojennego szczęścia...

— Wszystko jest w ręku Boga — powiada Ojciec Paweł.

Przy tych słowach oczy jego zatrzymują się na ołtarzu w bocznej nawie, gdzie ukryte są relikwie św. Andrzeja Boboły, naszego patrona i orędownika, wyniesione z płonącego kościoła OO. Jezuistów.

Ojciec Paweł przypomina sobie, jak przed wybuchem wojny przybył incognito do relikwi — jeden z naszych wybitnych generałów, długo się modlił i to on jeden w kampanii wrzesniowej stoczył kilka zwycięskich bitew.

— Może byśmy się pomodlili! — powiada Ojciec.

— Chodźmy — mówi pułkownik. Zaśpiewają się w modlitwie.

W kilka godzin później Ojciec Paweł z grupą chłopców w największej tajemnicy zabiera z ołtarza srebrną trumnę z relikwiami i zanosi ją do podziemi świątyni. Brodzą po kostki w wodzie, płynącej z rozbitych przewodów wodociągowych. Układają relikwie między trumnami z przed wielu wieków. Aby zatrzeć ślady — srebrną trumnę zakrywają ciemną materią. Ojciec Paweł kładzie na wieku cudownego Chrystusa z kaplicy Baryczków, z królewskiej katedry.

Kładzie także torbę z kompletem szat liturgicznych, które zabrał z kościoła OO. Bonifratrów i używał w czasie pełnienia obowiązków kapelana polowego.

MONTOWANIE PRZEBICIA

We wszystkich zgrupowaniach odbywa się gorączkowo montowanie grup szturmowo-uderzeniowych. Dowódcy wymęczonych ludzi — najdzielniejszych

wybierają z przetrzebionych i nadludźko najlepiej trzymających się fizycznie. Nie wielu jest całych, bez ran. Wciąż kogoś ubywa.

Wybranych przekazują broń, resztki amunicji i granatów. Szykują się oddziały słabo uzbrojonych i bez broni.

Przygotowują się do ewakuacji kanałami szpitala, przepełnione rannymi, urzędy i instytucje państwowe i komunalne.

Wszystko to odbywać się musi w największej tajemnicy, w czasie natarczywych ataków nieprzyjaciela, wśród nieustających nalotów i skoncentrowanego na nie wielkiej przestrzeni ognia kilkudziesięciu baterii artylerii najcięższej, moździerzy i granatników.

Na drugi dzień rano pułk. Wachnowski z dowódcami kolumn i grup szturmowych przeprowadza osobiście rozpoznanie trasy z wysokiej kamienicy, na Hipoteckiej, za budynkiem Banku Polskiego. Zdają sobie sprawę, że niewiele może dać takie wrozkowe rozpoznanie. Nie można ustalić stanowisk broni maszynowej, granic umocnionego terenu, ani w przybliżeniu ocenić sił nieprzyjacielskich.

Po południu odbywa się odprawa w dowództwie Warszawa — Północ, na Freta. Są obecni ppłk. Kuba, majorowie: Sosna, Róg, Witold, Jan. Są też dowódcy batalionów „Zośka” i „Wigry”. Po odprawie wszyscy udają się na Koźlą, na kwaterę. Pplk. Radosław upiera się, aby brać czynny udział w przebijaniu się do Śródmieścia. Chce iść ze swoimi chłopcami. — Ale też i oni domagają się tego. Wierzą w swego dowódcę. Na prośbę plk. Trzaski (Konopacki Eugeniusz) zostaje przesunięta godzina rozpoczęcia akcji z 23-ciej na 1-szą po północy.

Część oddziałów będzie trwać w pełnej gotowości bojowej i markować nieuszczuplone obsady przy barykadach tak długo, aż wyruszą grupy szturmowe i kolumny marszowe, uformowane z rannych na noszach. Wówczas reszta obsady zlikwiduje placówki i przejdzie jako straż tylna.

Sygnalem opuszczenia stanowisk da wystrzałem rakiety mjr. Róg, dowódca straży tylnej.

Równocześnie z tą akcją naziemną — rozpocznie się ewakuacja rannych kanałami do Śródmieścia.

POR. GAŁĄZKA NISZCZY TAMĘ W KANAŁE

Niemcy starają się jak najszybciej zdusić, zmiażdżyć i pogrzebać w ruinach ludność staromiejskiej dzielnicy. Chcą zapobiec wszelkim próbom przedostania się powstańców kanałami do Śródmieścia, czy na Żoliborz. Budują w kanałach tamy z szyn i worków z cementem i obstawiają posterunkami włazy.

Na skutek położenia tamy, ścieki, które spływają z wyżej położonego Śródmieścia ku staromiejskiej dzielnicy, nagle zatrzymują się, stan ich podnosi się. Komunikacja ze Śródmieściem staje się bardzo ciężka, a w końcu zamiera. Trzeba za wszelką cenę tamę zniszczyć.

Od strony Starego Miasta jest to zupełnie niemożliwe, gdyż ścieki wypełniają cały kanał i nie ma doń dostępu. Można tego dokonać od strony Żoliborza, który jest najniższej położony.

Płk. Wachnowski przypomina sobie, że od kilku dni przebywa tam por. Gałązka (Ziemęcki), oficer zdecydowany na wszystko, idący na każdą robotę i umiejący znaleźć wyjście z każdej sytuacji i opresji. Jest on jednak ranny. W dniu 30 sierpnia, drogą przez Londyn, pułkownik wysłał rozkaz na Żoliborz do por. Gałązki. Ma natychmiast zniszczyć zaporę w kanał. Po zorientowaniu się w sytuacji Gałązka melduje tą samą drogą, że kanały od strony Żoliborza są w posiadaniu nieprzyjaciela, dojsię do zapory jest nie możliwe, zbyt odległe.

Za kilka godzin otrzymuje ponowny rozkaz. Brmi on kategorycznie — „za wszelką cenę”.

(D. c. n.)

Zygmunt Jakimiak

Czytając prasę angielską...

Przeglądając angielską prasę trudno się oprzeć uczuciom podziwu i szacunku dla tej publicystyki. Myślę, że z powodzeniem można by ją uznać za wzór szerokości i głębi zainteresowań oraz dojrzałości krytyki. Brytyjski publicysta robi naprawdę wrażenie wyższego i powołanego sędziego mężów stanu, uczonych, dyplomatów, filozofów, generałów, jak również systemów, ruchów, ideologii. A każdy głos, należy to podkreślić, przepojony jest troską o przyszłość nie tylko Anglii, ale i Europy i całego świata. Sąd w różnych pismach panuje podobna atmosfera, podobne wnioski i sądy są wygłaszane, jakby jeden głos mówił różnymi językami. I choć ich rozwiązania nie zawsze nam dogadzają, a często może są niewłaściwe, to zawsze są dobrze uzasadnione i dojrzałe.

W „Listener” znajdujemy ciekawy odczyt o władzy w nowoczesnym państwie, wygłoszony przez Allana Bullocka. Stwierdza on, że władza dziś została wzmocniona i rozszerzona do granic nieznanymi nigdy przedtem w historii. Jest to skutkiem rozwoju technicznego, który po zwolił na ściślejszą organizację świata niż przed rewolucją przemysłową. Np. nowoczesne sposoby wpływania na opinię obywateli: radio, gazety, kina, które są pod kontrolą władz. Dalej władza ekonomiczna trustów i karteli, które mogą dowolnie podwyższać ceny i obniżać płace na całym świecie z wielką łatwością. Poza tym władza jest bardziej scentralizowana. Skupia się ona tylko w kilku grupach: monopolu kapitalistycznym, urzędnikach państwa i naukowcach i technikach i dlatego mówimy dziś o plutokracji, technokracji i biurokracji. Grupy, mające władzę ekonomiczną, nie mają nic wspólnego z demokracją i są nieodpowiedzialne. Władzy używają dla własnych interesów kosztem interesu ogólnego. Po dobie działają inne grupy społeczne, związki zawodowe, partie polityczne, które dbają tylko o swych członków. Władza państwowa czuła jest na żądania silnych grup, niż na skargi niezorganizowanych jednostek. Problem więc tak się przedstawia:

1. Szybki wzrost władzy państwa, wielkich trustów ekonomicznych i związków zawodowych.

2. Nieodpowiedzialność władzy tych grup i brak skutecznej obrony przed jej nadużyciem.

3. Tendencja tych grup do zaniedbania i podkopania interesu ogólnego na korzyść swego własnego wąskiego interesu.

Jak temu zaradzić? Trudno się zgodzić z Readerem, który twierdzi, że wszelka władza dąży do zepsucia się, a nawet, że jest zła. Mimo nadużyć władza jest „tak podstawową i niezaprzeczalną koncepcją w życiu społecznym, jak energia w życiu fizycznym”. To też należy się zastanowić nie jak obalić władzę, ale jak ją kontrolować i zabezpieczyć przed nadużyciem. Wszystko, co ludzkie, skłonne jest do zepsucia, zarówno jednostki, jak instytucje, ale to nie powód, by je niszczyć. Jak więc należy postępować wobec nowych form władzy?

Oddać więcej władzy państwu przez przekazanie państwu monopolu ekonomicznych nie rozwiązuje sprawy. Państwo, jak mówił lord Russell, jest też tylko grupą ludzi, którym powierzono więcej władzy, niż reszcie. Byłoby bardzo niebezpiecznie jeszcze mnożyć władzę tej oligarchii, chyba, żeby się stworzyło pewny system kontroli, co jest łatwe, bo funkcje państwa są dziś tak skomplikowane, że nawet parlament nie może wkroczyć w szczegóły. Jak więc w ekonomii planowej zorganizować kontrolę ekspertów i planujących?

Najlepszym sposobem usunięcia nadużyć władzy jest powierzenie decyzji w sprawach ważnych — o pokoju i wojnie i t. p. — ludowi. Wszelkie decyzje winny zapadać otwarcie. Decyzje anonimowe, przy zamkniętych drzwiach, jak w kartelach, są nieodpowiedzialne.

A więc władza winna być powierzona ludziom znanym, odpowiedzialnym, o twarde decyzjach. Władze kontrolujące winny się wcielić w niezależne in-

stytucje, na kształt władzy sądowniczej, którą uosabia niezależność prawa. W końcu należy przeciwdziałać koncentracji władzy. Należy ją centralizować zarówno w rządzie, jak i w ekonomii, bo wtedy masy ludowe wezmą szerszy udział we władzy i będą zainteresowane we własnym rządzie.

Myślą przewodnią wykładu jest walka z monopolami zarówno ekonomicznym, jak społecznym, bo jest on niebezpieczny dla wolności organizacyjnej. Charakterystyczną dla totalnego o jednej partii państwa jest jego zazdrość i podejrzliwość wobec organizacji niepodległych jego kontroli. Wolność stowarzyszenia, silnie rozwinięte niezależne organizacje, są najlepszym środkiem na monopol społeczny.

Celem i usprawiedliwieniem wszelkiej władzy jest dobrobyt ludzi żyjących w społeczeństwie. Władza nie jest celem sama w sobie, ale środkiem do celu. Jedynym celem, który usprawiedliwia władzę, jest dobrobyt tych, nad którymi jest wykonywana.

Wykład powyższy świadczy o zainteresowaniu, jakie budzą głębokie przemiany, jakie zaszły w ciągu tylu lat w życiu ekonomicznym i społecznym. Również w tym piśmie zamieszczone jest przemówienie Henry Wallace'a, rzeczowe i pełne troski o pokój świata. Twierdzi on, że ołbrzymie nadwyżki amerykańskiego bogactwa byłyby lepiej użyte dla podniesienia stopy życiowej w całym świecie, niż dla umocnienia takich rządów, które są antysowieckie. Zadaniem jego jest przypomnieć, że ideologii nie powstrzymuje się bombami, oraz nawązać łączność między Anglikami a tymi Amerykanami, którzy jeszcze nie chorują na epidemię antykomunizmu.

Przemówienie to spotkało się, jak wiadomo, z przyjęciem wrogim, szczególnie w prasie konserwatywnej, gdzie pełno jest czasem wręcz nieprzystojnych żartów.

Ciekawy na ten temat „New Statesman and Nation” zamieścił artykuł, w którym Wallace zestawiony jest z Churchilllem. Ten ostatni na przemówienia pierwszego odpowiedział serią artykułów w „Daily Telegraph”.

Gdy treścią przemówień Wallace'a był angielski oportunizm, to treścią artykułów Churchilla była — wielkość Ameryki. Obaj mężowie są do siebie podobni. Obaj dymisjonowani ze stanowisk, obaj niepopularni we własnym kraju i obaj zwracają się z apelem do kraju sąsiadniego. Tylko jeden przemawia do lewicy, a drugi do prawicy sprzymierzenia.

Tydzień kulturalny

PARNICKI W MEKSYKU

W ZWIĄZKU z ukazaniem się ogromnej, dwutomowej powieści Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry”, której recenzję umieścimy w jednym z najbliższych numerów, przypominamy, że jest to trzecia (obok trylogii Wł. J. Grabskiego) polska powieść, napisana w czasie wojny, a obejmująca temat i problematyką średniowiecznej polskiej doby — jak powiada X. Florian Jaroszewicz — „błogosławionego Bolesława Chrobrego, pierwszego króla polskiego”. Drugą powieścią są „Srebrne Orły” Teodora Parnickiego, autora „Aecjusza”, napisane podczas wojny w Palestynie i tam wydane. Być może będziemy powieść „Srebrne Orły” już niedługo drukowali w odcinku. Istnieje zresztą, żeby być już całkiem ścisłym, jeszcze czwarta powieść z doby bolesławowej, a mianowicie: J. Kędziory, i pąta — o ile wiemy nieskończona — Janusza Sępowskiego.

Wracając do Parnickiego, warto pamiętać, że ten doskonale zapowiadający się przed wojną prozaik polski mieszka stale w Meksyku, gdzie pracuje jednocześnie nad dwoma powieściami: nad kontynuacją Aecjusza i nad dużą powieścią z epoki Dioklecjana i Konstantego Wielkiego.

Bo Churchill był zawsze imperalistą i — mimo przeciwnych czasem pozorów — antykomunistą i uznaje teraz Waszyngton za stolicę. Zmienił on teraz swój wojenny slogan: „co mamy — to my albo Amerykanie dzierżą”. Natomiast Wallace, zawsze zwolennik New Dealu w kraju i w świecie, widząc, że został on odrzucony przez demokratów równie jak przez republikanów, uznał, że budowa jednego świata możliwa jest tylko wówczas, gdy brytyjski socjalizm będzie przewodził amerykańskiemu liberalizmowi. To też odwołuje się on do lewicy w władzy w Anglii, jak Churchill apeluje do prawicy rządzącej w Ameryce. Prawica ta po śmierci Roosevelta zapomniała o czterech wolnościach, o karcie Atlantyckiej, o wyższych pokojowych celach, jakie Ameryce wskazywali jej wielcy mężowie, a natomiast opanowana jest zupełnie imperializmem, który ułatwił zdobycie świata dla „wolnego przedsiębiorstwa”. Darmnie Wallace protestuje. Goryczą przezskanięte są dalsze wywody artykułu. Wallace więcej ceni Anglię niż przywódcy partii rządzących w Ameryce. Pewien generał amerykański wyraził się do oficera brytyjskiego, że Anglia, to niewielka pociecha dla armii amerykańskiej — jedna, dwie dobre bazy lotnicze. Członkowie kongresu w czasie debaty nad pożyczką dla Grecji i Turcji usłyszeli, że Anglia jest jednak „trochę więcej ważna”. Sztab amerykański jest zdania, że nie można zrezygnować z pomocy Anglii, jako „pochłaniacza atomu” (atom absorber). Ameryka — twierdzą oni — potrzebuje wysuniętych posterunków, takich, jak Anglia, Francja, Chiny, Środkowy Wschód, które mogą być zniszczone bombami atomowymi.

„Londyn i Paryż — na to się wszyscy godzą — będą całkowicie zmiecione na początku wojny. P. Churchill widocznie chętnie przyjmuje dla Anglii tę decydującą rolę w Wieku Amerykańskim... Zostawia on p. Wallace'owi podsuniecie myśli, że Anglia może odegrać samodzielną rolę w zapobieżeniu wojnie światowej”.

Trudno się dziwić konserwatyście — Churchillowi. Ale dlaczego rządzący Anglią przywódcy lewicy są niezdeterminowani i chwiejni? Dlaczego dotąd żaden nie wypowiedział się o nowej polityce Trumana? Wallace argumentuje z niepokonalną siłą, że otoczenie Rosji jest zadaniem ponad możliwość nawet Ameryki i że lepszym wyjściem jest zwalczanie komunizmu podnoszeniem dobrobytu. Tej właśnie linii powinien się trzymać Bevin i Atlee. Jalożym i niebezpiecznym jest opieranie polityki wyłącznie na antykomunizmie.

ŚMIERĆ OSTERWY

10 MAJA zmarł dość nagle jeden z największych naszych aktorów i może więcej, był jeden z największych organizatorów sceny polskiej, Juliusz Osterwa Dla miłośników teatru nazwisko Osterwy związane będzie już na stałe z takimi rolami, jak ks. Reichstadt w „Orlątku”, jak Sułkowski w „Sułkowskim”, jak młody hrabia w „Bracie marnotrawnym” Wilde'a, którą to rolę Osterwa grał niezrównanie w dniu śmierci i pogrzebu swej pierwszej żony, Wandy. Ale przede wszystkim nazwisko Osterwy związane jest z instytucją „Reduty”, z tym pierwszym twórczym, a nie tylko odtwórczym teatrem w Polsce. „Reduta” stworzyła pierwszy na poważną skalę teatr zespołowy. W „Reducie” po raz pierwszy, po wielkiej dobie tuzów — od Żółkowskiego po Frenkla, Kamńskiego, czy Solkiego — doszedł do głosu zespół. W „Reducie” wreszcie zakończyła się doba teatru, jako wyłącznie widowiska, a powstał obowiązek „przeżywania”. Ci, co mieli z „Redutą” do czynienia, pamiętają, jak usilnie Osterwa domagał się specjalnego trybu życia od aktorów, którzy mieli grać poważne role.

Przedwczesna śmierć Osterwy jest naprawdę wielką stratą dla sztuki teatralnej w Polsce.

„Płynąć z prądem też jest polityką — choć kiepską. Rząd robotniczy (Labour) może płynąć dopóki jego niezdeterminowanie nie uniemożliwi pozytywnej niezależnej polityki zagranicznej. Tu leży nasze niebezpieczeństwo i wyznanie, rzucone przez przemówienia Wallace'a i artykuły Churchill'a, jest to samo: czy możemy się zdecydować? „Ekonomist” i „Spectator” poświęcają trochę miejsca działalności de Gaulle'a. Ostotnie pismo zwraca uwagę na przemówienie prezydenta Francji, Auriola, które po ojcowsku traktuje ostatnie wystąpienie generała. Przyznaje mu ono wiele słuszności. Dyscyplina jest potrzebna, ale poco? Bezowocne kłótnie partyjne są szkodliwe, zgoda; ale niezgoda może przybrać różne formy. Jedność ludu jest rzeczą pożądaną, lecz prezydent ostrzega przed niecierpliwą skończenia z partiami, bo to samo w sobie jeszcze jest niczym. Wzywanie do jedności i reform państwa nie jest nowością we Francji, a było zawsze niebezpieczne. Wszystko zależy od sposobu, w jaki się rozwinie nowy ruch. Niebezpieczeństwa zmiany są wielkie. Wszystkie siły wyteżyc należy na odbudowę, odzyskanie siły, rehabilitację.

„Listener” zamieszcza ciekawe spostrzeżenia Pascala, germanisty, po podróży do Niemiec. Wiele mówiący jest tytuł: Czy nowa niemiecka mitologia? Sprawdź on, że profesorowie i studenci niemieckich uniwersytetów są zadowoleni z usuniecia kontroli hitlerowskiej ze szkół wyższych, wszyscy się uważają za antyhitlerowców, nawet ci, co gorliwie z nimi współpracowali, jak to zjadliwie podkreśla autor. Jednak za hitleryzm uważają system przymusu, nie zaś teorię państwa, czy rasy. Siebie uważają za ofiary tego przymusu, ofiary, które teraz cierpią niewinnie za cudze grzechy. Pewien wybitny profesor skarżył się na usunięcie profesorów hitlerowców, choć sam publicznie wypędzał Żydów z uniwersytetów. Mają czyste sumienie wobec Anglików, którzy czują się zawstyżeni, że tak ich muszą traktować.

Poczucie odpowiedzialności za wojnę nie sięga głęboko. Skarżą się, że ich nie zaproszono na Olimpiadę w 1948 r. Nie zdają sobie sprawy, jak bardzo Hitler spacył ideę sportu, czyniąc z niej narzędzie polityki, mord i zbrodni. W dalszym ciągu Niemcy uznają Wodza za świętą osobę, której nie wolno zdradzać po zaprzysiężeniu mu wierności. Nie mają pojęcia o rządzie konstytucyjnym, odpowiedzialnym przed narodem. Anglik zapytałby „...jak to było możliwe, żeby Niemcy oficerowie i cywilni, mogli tak długo tolerować wodzów, którzy zgubnie oszukali naród”.

Niemiec zapyta: „czy słuszne było buntować się przeciw świętej osobie Wodza?”.

Również uderza Anglika stosunek Niemców do wojny. Nie czują winy za jej wywołanie. Przyznają, że popełniali okropności. Ale nie pytają się, poco do Rosji chodzili. Opowiadają tylko, jak mężnie walczyli. Kto był na wschodnim froncie, ten jest bohaterem, uznanym przez wszystkich. Stalingrad jest symbolem heroizmu niemieckiego, tak powstaje nowy mit o niemieckim żołnierzu frontowym z ostatniej wojny, którego nacjonalizm niemiecki używa do podkopania idei demokracji, pokoju, współpracy między narodowej. Klęska w Rosji raczej żywi jeszcze tę nową mitologię. Pewien szofer, były tankista spod Leningradu, zapytany przez autora, jaki błąd popełnił Hitler, odrzekł: był za dobry. Słuchał rad zdradzieckich generałów. Gdyby był twardy aż do końca, Niemcy wygrałyby wojnę”. Anglika załkało. Wszelako, czy tak nie myśli większość Niemców?

Jak widzimy, Niemcy niewiele się nauczyli po drugiej klęsce, wszystkie nauki obracają na złe. Obiektywny Anglik bystro ich przejrzał. I on jednak nie wysnuwa właściwych wniosków, skoro mówi, że wiadomo, jaki kierunek obiorą Niemcy i że należy im zapewnić dobrobyt materialny, bez którego nie ma nadziei na nic dobrego. A cóż dobrego może wyjść z Niemców bogatych!

Zygmunt Jakimiak.

TRZY SIERPNIĘ

(Dokończenie ze strony 5-cj)

rzy opiekowali się nim bardzo serdecznie. Byli u niego później raz w szpitalu i od nich dowiedział się, komu zawdzięcza swe uwolnienie. Nie na wiele jednak przydałaby mu się ta wolność, gdyby nie niezwykła ofiarność lekarzy i pielęgniarek szpitala, którzy przynajmniej częściowo musieli być wtajemniczeni, kim jest pacjent z przestrzelonym płucem. Wprawdzie dostarczono mu jeszcze do mieszkania, w którym początkowo leżał, nowych dokumentów, gdyż poprzednie zostały w Gestapo, jednak każdy postrzelony pacjent wydawał się Niemcom zawsze podejrzany.

Szczególnie po każdej akcji odbicia transportu gestapoży lustrowali wszystkie szpitale warszawskie, „prześwietlając” niemal każdego pacjenta. Również i po ostatniej akcji byli w tym samym dniu i nazajutrz w szpitalu Dzieciątka Jezus, obchodząc wszystkie sale w poszukiwaniu zbiegów. Ponieważ wiadano o tych praktykach niemieckich, umieszczono Stefana po akcji na cztery dni prywatnie, mimo że stan jego był bardzo groźny.

Idąc teraz do szpitala, wspomniat z wdzięcznością jego obsługę, która tak bohatercko narażała się dla niego, a teraz naraża się dla Waclawa.

Pograżony w myślach i wspomnieniach sam nie wiedział, kiedy przeszedł część Nowego Świata, Chmielną, Aleje Jerolimskie i Pankiewicza. Gdy wymienił w szpitalu nazwisko pacjenta, kazano mu poczekać na dole. Po długiej chwili wysłała narzeczona Waclawa, którą znał tylko przełotnie, młoda dziewczyna o spokojnej, energicznej twarzy, w pielęgniarskim fartuchu i białym czepeczku na tyle głowy.

Okazało się, że przybył napróżno, gdyż stan Waclawa od rana bardzo się pogorszył i nie wolno go było odwiedzać. Panna Halszka, jak nazywała się narzeczona Waclawa, poinformowała go jednak o szczegółach całej akcji, które opowiedział jej przed godziną Waclaw, gdy był jeszcze przytomny Stefan znał je do momentu, w którym Karol strzelił do policjanta. Okazało się, że strzał był chybiony. Uciekającego Waclawa zatrzymał nadchodzą-

cy żandarm. Zażądał od niego dokumentów i nie przeglądając ich, wręczył je policjantowi, a następnie wyjął pistolet i z odległości dwóch kroków strzelił Waclawowi w brzuch. Waclaw upadł na ziemię, nie stracił jednak przytomności. Strzały zwały kilku przechodzących Niemców i policjantów, którzy zamknęli cały plac Kopernika i zatrzymali trzech mężczyzn, przechodzących w tym czasie. Podprowadzali ich kolejno do Waclawa i zapytywali, czy go znają. Oczywiście wszyscy zaprzeczyli. Jednym z ujętych był Chmura. Wszystkich ich zabrali, jego zaś przenieśli najpierw na I komisariat, a potem odstawili do szpitala.

Najdziwniejsze było, że nikt go nie pilnował, chociaż z drugiej strony zabranie go w tym stanie ze szpitala było jednoznaczne z natychmiastową śmiercią. W każdym razie postanowili z Halszką, że jeśli stan Waclawa poprawi się, należy go zabrać natychmiast, nawet przy użyciu siły.

Okazało się to jednak niepotrzebne. Po dwóch tygodniach mąk Waclaw zmarł.

Swej ostatniej pieśni, marsza żałobnego, nie zdążył już zapisać.

St. Edward Bury.

OSTATNIA SZANSA

Jak wiadomo wrażliwość estetyczna nie każdemu jest dana w nadmiarze.

Stąd pole do konfliktu między artystą a nieczulym odbiorcą.

Geneza sporu pozwala snuć przypuszczenia, że nie skończy się on nigdy.

Przymiotnik „nieczuły”, którym obdarzyłem przeciętnego odbiorcę, został użyty w sensie zupełnie jednoznacznym.

Nie popadnę w sprzeczność, twierdząc, iż dziś zwłaszcza wielu z nas czuje, rozumowo nie zawsze sprecyzowaną konieczność pojawienia się sztuki adekwatnej do rzeczywistości.

U jednych wynika to ze skłonności masochistycznych, inni oczekują, że sztuka stworzy im dogodniejsze perspektywy, umożliwiające zorientowanie w złożonych sprawach tego świata.

Obydwa motywy świadczą o mocy pozaartystycznych walorów sztuki.

Na uwzględnienie zasługuje zwłaszcza ten drugi.

W chwili obecnej **Xa Muza bardziej niż którakolwiek z jej przyrodnich sióstr, wydaje się być predystynowana do zadośćczynienia wołaniu o sztukę adekwatną.**

Fakt jej niepełnej adaptacji przez Apollona, pozwala na eksperymentowanie bez angażowania autorytetu konserwatywnego bóstwa.

„Zakazane Piosenki” przekonują nas, że wielostronność zainteresowań nie jest mu zię obca.

Jeśli jednak chodzi o osiągnięcie artystycznie dojrzalsze, to palma pierwszeństwa przypadnie w udziale „Ostatniej Szacie” — filmowi produkcji szwajcarskiej.

Umiar artystyczny reżysera święci tu swój pełny triumf.

Leopold Lindtberg pragnął uwydatnić tylko dwa elementy charakterystyczne dla czasów pogardy: Grozę i solidarność ściganych.

Sztuka filmowa jest, jak dotąd, sztuką na użytek dorazny, a żywot filmu eferentny.

Lew Tołstoj dając w „Wojnie i Pokoju” najlepszą artystyczną syntezę epoki napoleońskiej, nie mógł się odwoływać do osobistych doświadczeń ludzi owej epoki. Reżyser Lindtberg apeluje stale do doświadczeń widza.

To pozwoliło mu nie wprowadzać Niemców na ekran.

Fakt ich nieobecności, z wyjątkiem paru nie ważnych dla całokształtu akcji momentów, wzmagą grozę.

Groza jest tlenem filmu, którym oddychamy wraz z jego bohaterami.

Odnosnie realistycznych zalet „Ostatniej Szansy” można wysunąć zastrzeżenia, kiedy w schronisku nad granicą szwajcarską uciekinierzy, mając Niemców na karku, snują wrzuszające dywagacje na temat międzynarodowego braterstwa.

Wydaje mi się, że uczynienie właśnie księdza głównym bohaterem nie było dziełem przypadku.

Film jest na wskroś chrześcijański.

Najpotężniejsze w nim momenty, to nie tylko całopalna postawa proboszcza i śmieć chłopca, koncentrującego na sobie ogień niemiecki, by umożliwić ucieczkę towarzyszącom.

To również trzech Anglosasi, osiągnący świętość na pozór wbrew własnym intencjom.

Hitlerizm pogłębił naszą wiedzę o człowieku.

Umasowił zjawisko konieczności dokonywania wyboru między czynem nikczemnym a świętością.

Tertium non datur.

Sympatyczni żołnierze anglosascy są tylko krok od podłości, kiedy przychodzi im wybierać między ewentualnością ucieczki na własną rękę, a pozostaniem ze ściganymi, które się równa oddaniu w szpony nazi.

Jest wielką zasługą reżysera, że pokazał w sposób artystycznie przekonujący ludzi na niewymiernym exterytorium od dzielającym zbrodnię od wyżyn bohaterstwa.

„Ostatnia Szansa” jest najlepszym filmem o hitleryzmie dlatego przede wszystkim, że odpowiedzialność artysty zdominowała w Lindtbergu śmiałość eksperymentatora.

A Leopold Lindtberg, jako artysta, zapłacił jednak za walory swego dzieła cenę dużą — cenę jednostronności ujęcia tematu.

Nik Rostworowski

Polowanie na rekiny

Byłoby już nudne i oklepiane powtarzać ze świętym oburzeniem, że ludzkość wielokrotnie więcej sił i zdolności zużywa dla celów zniszczenia, niż dla budowania — nie mniej myśl ta nasuwa się przy każdej sposobności...

Ostatnio zaczynają się powoli uchylać rąbki tajemnic techniki wojennej, stosowanej w ostatnich wielkich zapasach — i szaremu laikowi mąci się lekko w głowie, gdy słucha o tych technicznych nadzwyczajnościach, nikomu wprawdzie na nic nieprzydatnych, służących do robienia ludziom krzywdy, nie pożytku (choćby nawet „dzieło zniszczenia w dobrej sprawie” było „święte jak dzieło tworzenia...”), ale zawsze oszalamiających.

Jedną z dziedzin, pochłaniających w czasie wojny wiele uwagi i wysiłku, była obrona przed niemieckimi łodziami podwodnymi. Stalowe rekiny Doenitz'a operowały na całym Atlantyku aż po wybrzeża amerykańskie, zapuszczając się daleko na południe i na północ. Początkowo stosowanie torped akustycznych dało łodziom podwodnym wielką przewagę. Torpeda taka — nie wchodząc w szczegóły techniczne, na których sam dobrze się nie znam — automatycznie dążyła tam, skąd dochodził najsilniejszy odgłos. Praktycznie przeto sama wybierała sobie np. w konwoju największy statek, którego sruby robiły największy hałas. Skoro jednak strona przeciwna zrozumiała o co chodzi, nie trudno było wbudować pod statekami sztuczne źródła odgłosów, po czym ogłupiałe torpedy nie wiedziały już, w co uderzać, a w każdym razie omijały swój właściwy cel — kadłuby stateków.

Jednocześnie stosowano pomiar akustyczny dla ustalania pozycji nieprzyjacielskiej łodzi podwodnej. Fala dźwiękowa, niedostępalna dla ucha, wybiegała ze statek poszukującego, odbijała się od łodzi podwodnej i wracała, wskazując przez to, gdzie znajduje się poszukiwany nieprzyjaciel. W Niemczech wydawano olbrzymie sumy na wynalezienie dla łodzi podwodnych powłoki ochronnej, która pochłaniałaby owe fale. Udało się to wprawdzie, ale ciężar powłoki obniżał poważnie szybkość łodzi. Znalezione przeto inny sposób: wyrzucano pod wodą pigułki chemiczne, które rozpuszczały się w wodzie, wytwarzając fale ultradźwiękowe, przez co „zamazywał się” niejako obraz w aparacie odbiorczym przeciwnika.

Wyposażono także łodzie podwodne w „uszy” dla chwytania ultradźwięków. Aparaty odbiorcze, zwane hydrofonami, w drodze ciągłego udoskonalania doszły do wielkiej precyzji w chwytaniu owych nieuchwytnych dla ucha dźwięków i przetwarzaniu ich na odgłos dosłyszalny. Łódź była przeto zawsze ostrzeżona o tym, że jej poszukują, a zarazem mogła sama słyszeć nie tylko odgłos śrub okrętowych, ale nawet szmer wody ocierającej się o kadłub.

Najbardziej niebezpiecznym wrogiem łodzi podw. był radar. Na ten temat pisano już dcsyć — każdy wie więcej, o co chodzi. W celach obrony wysyłano początkowo obserwatora na specjalnym aparacie, pokrewnym helikopterowi, z wynurzającej się łodzi; ale wycofywanie tego aparatu nastroczało w razie niebezpieczeństwa wielkie trudności, przy czym zdarzało się, że załoga „zapomniała” w pośpiechu o obserwatorze. Pod pseudonimem „Kominiaz” prowadzono w sztabie marynarki niemieckiej niezliczone prace badawcze dla znalezienia lepszego środka, aż wreszcie już pod koniec wojny wynaleziono odpowiednią ochronną powłokę.

Pewną ochronę dawały, jak i przy obronie przed ultra-dźwiękiem, aparaty odbiorcze, które ostrzegały w porę łódź o nadbiegającej fali radarowej. Wtedy jednak zaczęła się walka o długość fali; przy zmianie jej przez przeciwnika aparaty stawały się bezużyteczne. Wyciąg zaprowadził walczące strony aż do promieni podczerwonych. W każdym razie samolot, z powodu swej szybkości, pozostał najgroźniejszym przeciwnikiem łodzi podwodnych.

Przez pewien czas Doenitz odnosił sukcesy przy pomocy t. zw. „tatyki wilczej”, t. zn. przez ataki masowe całymi stadami łodzi podwodnych, w liczbie przewyższającej liczbę okrętów konwoju. Odpowiedz na to ze strony anglosaskiej stanowiły długodystansowe bombowce, zaopatrzone w aparaty radarowe. Łodzie musiały się wówczas wycofać na środkowy Atlantyk, na znaczną odległość od baz lotniczych wybrzeża. Alianci zbudowali wtedy małe lotniskowce, które stały się groźnym niebezpieczeństwem dla łodzi i cennym środkiem ochrony konwojów na środkowym Atlantyku, głównie przez swoją ruchliwość, jak również dzięki połączeniu systemu ultradźwiękowego z okrętu z radarem z samolotu. Dowództwo marynarki niemieckiej zdecydowało się rozpocząć łodziami otwartą wojnę z tym typem lotniskowca, skutki jednak były przerażające: w pierwszym półroczu 1943 zatopiono ponad sto pięćdziesiąt łodzi podwodnych. Taki cios spotkał poza tym łodzie podwodne tylko raz — kiedy to dowództwo marynarki uparło się przy podawaniu łodziom drogą radiową stanowiska, mimo ostrzeżeń techników.

Przeciw radarowi ważnym bardzo środkiem stał się pod koniec wojny t. zw. „chrupacz” (Schnorchel). Był to aparat, umożliwiający łodzi nabijanie baterii dla poruszania się pod wodą, bez wypływania na powierzchnię. Za pośrednictwem „Schnorchela” gazy z silników Diesla wydobywały się z łodzi, zanurzonej na głębokość peryskopową (5—8 metrów) bez piany i dymu. W ten sposób łódź mogła przebywać pod wodą tak długo, jak tylko zapas tlenu na to pozwalał. Pływający tank, pokryty powłoką ochronną, był nieodróżnialny dla aparatów radarowych.

Drugim wynalazkiem w tym samym kierunku był silnik Waltera, nie dający odpływu gazów.

Tymczasem jednak technika ultradźwiękowa umożliwiła wielką ofensywę przeciw łodziom. Alianci skonstruowali bojowe nado, która samoczynnie, przy

pomocy hydrofonu, chwytala wszystkie odgłosy pod powierzchnią, przekazując je dalej przy pomocy aparatury radiowej. Aparat podsłuchowy był tak czuły, że można było nim chwytac rozmowy załóg wewnątrz łodzi podwodnych! Boje takie zrzucano z samolotów w okolicach „podejrzanych” o obecność łodzi podwodnych.

Nie mniej jednak, ponieważ morze ma swoje własne odgłosy, wydawane przez rozmaite morskie stworzenia, boja nie była również 100 procentowym pewnym środkiem. Walka z łodzią wyposażoną we wszystkie aparaty i wyszkoloną załogę mogła być ciężka.

W jednym wypadku pościg za łodzią trwał przez osiemnaście dni, przy czym stosowano z obu stron wszystkie wspomniane środki. Okrety ścigające ustalały ultradźwiękiem pozycję łodzi, która maskowała się ścianami pęcherzyków powietrznych i sztucznym ultradźwiękiem. Na podstawie map podwodnych, wskazujących temperaturę morza, łódź mogła się chronić w sfery o innej temperaturze, gdyż granica temperatur załamuje fale ultradźwiękową. Wypuszczając torpedy akustyczne, łódź zmuszała pościg do włączenia aparatów sztucznego hałasu, co znowu unieszkodliwilo ich hydrofony, tak, że tracili łódź „z uszu”. Wreszcie łódź odniosła pewne szkody od bomb głębinowych i musiała puścić w ruch pompy; to unieszkodliwilo jej hydrofony załoga nie mogła obserwować poczynañ przeciwnika i nadszedł koniec pościgu.

Środkiem bardzo skutecznym okazały się ze strony alianckiej t. zw. b l i m p s, balony obserwacyjne, napełnione helem, zaopatrzone w radar i hydrofony i chroniące gęstą siecią dróg konwojowych. Utrudniały one samo zbliżenie do trasy konwojów. Pod koniec wojny skonstruowano w Niemczech nowy typ łodzi podwodnej głębinowej (zanurzenie do 200 metrów, niezwykła szybkość pod wodą — 15 węzłów, aparaty do odnawiania zapasu powietrza). Nie mniej byłoby jedynie kwestią ulepszenia techniki ustalania pozycji dźwiękowej, aby i temu nowemu przeciwnikowi dać radę.

Uświadamianie tego Niemcom — wskazanie im na potęgę techniczną przeciwnika, której ulec musi wynalazczość niemiecka, stanowi nader owocny i pozyteczny dział propagandy pokoju...

(Dane rzeczowe wg. H. F. Mataré, „Wirklichkeit des U-Boot Krieges”, „Tagesspiegel”, 16.3.1947).

Już ukazał się zbiór pamfletów i zbiorów historycznych Aleksandra Bocheńskiego

p. t.

„Dzieje głupoty w Polsce”

do nabycia we wszystkich księgarniach

Cena zł. 600.—

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO” „O Fundusz Dziecka”

Nie będąc w stanie z braku czasu czytać całości prasy katolickiej, uważam za prawdopodobne, że sprawa, którą chcę poruszyć, była już dyskutowana. Jeśli tak, uważam swój list nie za inercyjny, lecz za przypomnienie.

Ruch katolicki w Polsce powojennej postawił sobie za jedno z głównych zadań w pracy nad odrodzeniem Narodu, podniesienie jego zagrożonej sily rozrodczej. Bezwzględnie, istota sprawy leży tutaj w płaszczyźnie moralnej. Zasadniczym warunkiem podjęcia przez małżeństwo trudów i niewygód wychowywania licznego potomstwa, jest wyrobienie w sobie ducha poświęcenia, do czego potrzebne są odpowiednie pobudki moralne.

Tym niemniej nie można zapominać o momentach materialnych — zwłaszcza w tak trudnym obecnie dla nas pod tym względem okresie. W związku z tym uważam za konieczne zorganizowanie akcji pomocy materialnej dla rodzin wielodzietnych na koszt ludzi samotnych, a zwłaszcza małżeństw bezdzietnych.

Akcja ta powinna być usankcjonowana przez państwo w formie ustawy o „Funduszu Dziecka”. Podstawą jego byłby specjalny podatek opłacany przez wszystkich bezdzietnych obywateli państwa po skończeniu przez nich, powiedzmy, 25 lat życia.

Stawka tego podatku musiałaby być wyższa dla małżeństw bezdzietnych, niż dla samotnych. Od obowiazku płacenia podatku zwolnione byłyby osoby niezdolne do pracy, wdowy i wdowcy mający na utrzymaniu dzieci, kobiety wychowujące swoje dzieci nieslubne oraz osoby, które wprawdzie nie mają swoich dzieci, lecz wzięły na utrzymanie sieroty.

Z uzyskanych w ten sposób środków „Fundusz Dziecka” wypłacałby zasiłki:

a) dla małżeństw lub wdów albo wdowców posiadających więcej niż dwoje dzieci — do czasu osiągnięcia przez te dzieci wieku 18 lat (okres ten mógłby być skrócony w razie podjęcia wcześniej przez dziecko pracy zarobkowej, lub przedłożony do chwili ukończenia nauki), z tym, że za każde następné dziecko stawka zasiłku byłaby wyższa; można by ustalić maksymalną granicę dochodu osób, którym takie rodzinne zasiłki przysługują.

b) dla zakładów wychowujących sieroty.

Wobec tego że w chwili obecnej ilość sierot w zakładach jest niezwykle duża — udział „Funduszu Dziecka” byłby odpowiednio duży w akcji wspomaganie tych zakładów — w przyszłości jednak wybitnie większą część Funduszu poświęconą byłaby akcji wspomaganie licznych rodzin.

Z projektem takiej ustawy mógłby wystąpić w Sejmie Klub Społeczno-Katolicki.

Do chwili, gdy to wystąpienie będzie możliwe, dalej do chwili uchwalenia i wprowadzenia w życie takiej ustawy, społeczeństwo katolickie mogłoby ją samo wprowadzić w swoim zakresie.

W miejsce centralnego państwowego „Funduszu Dziecka” możnaby utworzyć parafalne fundusze, administrowane przez proboszcza, który w miarę lokalnych możliwości i potrzeb rozdzielaliby zasłki rodzinom wielodzietnym i sierotom. Pieniądze na ten cel uzyskiwano by w drodze dobrowolnego opodatkowania się świadomych parafian. Akcja taka stałaby się jeszcze jedną więcej spólną w życiu parafii.

Znajdujemy się obecnie w bardzo ciężkim okresie pod względem materialnym. Nikt z nas nie ma za dużo środków finansowych. Potrzeb jest masa. Jeśli jednak samotnym ciężko jest żyć — to jak z tej samej skromnej pensji robotniczej, urzędniczej, czy nawet z kilku morgów gospodarstwa rolnego, jak e nadal, mimo reformy rolnej, się trafiają, utrzymać kilkoro dzieci?

A czekać nam nie wolno. Procesowi osłabienia sily rozrodczej narodu nie pozwolimy się, jeśli pozwoli mu się pójść za daleko. Działać trzeba dostępnymi nam środkami już teraz.

Mgr. H. B. z Sopot

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Ostatnio coraz częściej mówi się i porusza w prasie zagadnienie przyrostu naturalnego, który zastraszająco spada. Szuka się przyczyn tego w osłabianiu trwałości małżeństwa, wygodnictwie i t. p. — Owszem, w wielu małżeństwach to odgrywa rolę ale dlaczego tak mało mówi się o innej ważnej przyczynie ograniczenia ilości dzieci w wielu rodzinach — o ciężkich warunkach materialnych, o niskich pensjach.

Krytykuje się rodziny inteligentkie, że zadawalają się jednym lub dwojgiem dzieci, ale nie może się tego zrozumieć, że urzędnik zarabiając 5, 6, czy nawet 8 tys. zł., z ledwością może utrzymać to jedno czy dwoje dzieci, biorąc pod uwagę obecne ceny.

Ktoś może powiedzieć, że żona może pracować też. Zgoda, ale dotąd, dopóki nie ma dzieci. Nie widzę możliwości, by kobieta, mając 2 lub 3 małych dzieci, mogła pracować zarobkowo po za domem.

A więc propagując liczne rodziny, musimy walczyć przede wszystkim o poprawę ich bytu materialnego. Urodzić dziecko, to nie sztuka, ale, za co w dzisiejszych czasach je wyżywić, ubrać i wykształcić.

Maria Kryzowa, Poznań

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

List „p. Zofii” wywołał ożywioną dyskusję, w której wszyscy się godzą że prawa, na jakie powołuje się „p. Zofia”, nie wytrzymują wszelkiej krytyki. Nie ma takich praw, które pozwalałyby człowiekowi ulepszyć swoje życie za cenę życia innych ludzi, choćby był to tylko plód poczęty w łonie matki. Życie człowieka i jego zadowolenie nie może przecież opierać się na śmierci innych, nawet jeśli ci inni są dopiero co powołanymi do życia. Każdy, komu człowiek jest drogi, potępi to, każdy, kto celu życia nie widzi w dogadaniu swym przyjemnościom osobistym, nie będzie zagadnienia, wysuniętego przez „p. Zofię” brał za temat do rozważań za i przeciw. Stanie bowiem na stanowisku, że pogląd „wiernej czytelniczki” nie jest wyjątkiem w sytuacji. Niemniej nie zgadzam się z książkami Chotyńskich i Szymała, że wydrukowanie listu „p. Zofii” jest antyspołeczne i anty-

Szeroki horyzont

Wszystkiego potrochu...

Nasz nos. Pamiętajcie pewnie państwo z czasów szkolnych, że miligram jest jedną tysięczną częścią grama, a gram odpowiada da w przybliżeniu wagowo jednemu zarnku pszenicy. Otóż nosem wyczuwamy jedną 20.000-czną część miligramu olejku różanego, i jedną 460.000.000-wą miligramu zgniętego jajka. Wynosi to 250 razy mniej, niż najniższą ilość sodu, jaką wykrywa spektroskop falami świetlnymi. Ale i to jeszcze nie jest wszystko, gdyż nos nasz może wyczuć jedną bilionową miligramu substancji kamforowej!

(„Maclean's Magazine”)

Radża odrodzony. Ramendra Narayan Roy, drugi syn radży Bhowala, którego niebawem proces zakończył się w Londynie w roku ubiegłym, został powiadomony telegraficznie, iż po 25 latach udało mu się w końcu udowodnić, że... nie zmarł. Najwyższy Trybunał Imperium uznał go za właściciela jednej trzeciej domeny Bhowal, która ma powierzchnię 100 mil kwadratowych i daje 100.000 funtów szterlingów rocznego dochodu.

Przed 37 laty radża „zmarł” w Dardżelingu. W obecności tysięcy ludzi, którzy wzięli udział w ceremonii, położono go na stosie żałobnym. Płomienie zaczęły go obejmować, kiedy rozpętała się burza monsunowa, rozpadając tłumy. Ulewny deszcz ożywił Ramendrę. Został on oswobodzony przez przechodzących właśnie żebraków i przez 12 lat błąkał się po całych Indiach, gdyż stracił pamięć.

Odzyskał ją w Kalkucie w roku 1921, poczym starał się o odzyskanie swej żony i majątku. Żona jego jednak utrzymywała, iż go nie poznaje i że widziała go na łożu śmierci. Wtedy też rozpoczął się najdłuższy proces w dziejach Indii, w którym zeznawało ponad 1.000 świadków, w czym jedna kobieta stuletnia. Sporządzo no też 2.000 akt, a wydano 6.000 funtów szterlingów na reprodukcję 28 tomów dokumentów i 6 zbiorów fotografii.

(„Daily Herald”)

Co mamy na sobie? Trzeba 90 kilometrów przędzy na ubranie jednego mężczyzny: 14 na bieliznę, 4 na skarpetki, 15 na koszulę, 1,5 na krawat i 55 na garnitur.

(„Science Digest”)

Sprawa całego świata. Jak oświadczył jeden z architektów, zatrudnionych przy odbudowie Stalingradu, jego biuro jest zawałone stosami listów z całego świata. Otrzymuje on tysiące wskazówek, bardzo często razem z planami i drobiazgowymi projektami. Między innymi w nadesłanym materiale jest kilka nadzwyczaj udanych pomysłów. Ostatnio nadesłano z miejscowości, położonej w sercu Chin, pergamin długości 18 metrów, na którym wytyczono szczegółowy plan Stalingradu, wykonany bardzo starannie, a dalej szczegółowe projekty kilkunastu ulic i placów i nawet dokładne elewacje poszczególnych gmachów publicznych!

(„Soviet Weekly”)

Na marginesie historii. W roku 1886 kierownik amerykańskiego urzędu patentowego oświadczył iż nie należy się spodziewać w przyszłości dokonania licznych wynalazków, gdyż już prawie wszystko zostało wynalazone („Newsweek”)

państwowe i że jest to list „jakieś la-dacznicy”. Dziwi mnie, że można potępić bezwzględnie człowieka, który błądzi, a który szuka jednak wyjścia z tego błędu. Przepowieść o poszukiwaniu setnej zgrubionej owcy mówi nam najlepiej o stosunku Najwyższego Nauczyciela do słabych i błędzących ludzi, którzy chcą wejść na drogę prawdy.

Chciałbym przy okazji poruszyć problem inny, a mianowicie opieki nad dziećmi, które już ujrzały życie. Czyż dzisiaj można mówić o tej opiece, gdy dzieciom pozwala się głodować. Wynagrodzenie ojca rodziny jest wyższe od wynagrodzenia pracownika nieznanego o 200 — 400 — 600 zł., zależnie od ilości osób, będących na jego utrzymaniu. Nie pomoże rzucanie pięknych haseł, pozostaną one tylko frazesami, gdy nie przyjdziemy licznym rodzinom z konkretną materialną pomocą. Opieka nad rodziną nie powinna zawierać się w słowach, a w czynie.

J. M-H. z Malborka

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO”

Szanowny Panie Redaktorze. Niezmiernie zaciekał mnie list siedemnaścieletniej harcerki, umieszczamy w tygodniku „Dziś i Jutro” z dnia 27.4, gdyż treść tego listu bezwzględnie wiąże się z bardzo ważną i drażliwą kwestią t. zw. młodzieży o światopoglądzie katolickim, której udział w lewicowych organizacjach jest stosunkowo niezbyt wielki. Dlaczego tak się dzieje?

Pani A. B. tłumaczy się, że nie chce należeć ani do ZWM, ani — do Sodalicii, mimo że jest jak twierdzi, wierząca i praktykująca katoliczką. Stanowisko to jest uмотywowane tym, że trudno być jednocześnie katolikiem i marksistą, a z drugiej strony — dotychczas istniejące zrzeszenia katolickie często nie zdają sobie sprawy z potrzeb rzeczywistości. Jak więc znaleźć wyjście dla tych, co chcą postępu społecznego, przy jednoczesnym kulturowaniu katolicyzmu czynnego?

Pewna część katolików pragnie zorganizowanego działania wyłącznie w dziedzinie kultury religijnej, inni uważają że w organizacjach młodzieżowych zasadniczym celem jest praca społeczna, przy czym idą usłowienia w tym kierunku, aby członkowie tych organizacji stali się

marksistami. Została jednak grupa tych katolików, co nie zadawalają się jedynie prywatną praktyką religijną, ale chcą działać społecznie, lecz w organizacjach o programie chrześcijańsko - demokratycznym, a więc niezgodnym z ideologią marksistowską propagowaną przez lewicowców. Lecz czy to oznacza, że chcą działać antypaństwowo...?

Rozwiązanie tego problemu może zjednoczyć cały naród polski w pracy polityczno-społecznej, mimo różnic ideowych poszczególnych grup. Trzeba tylko zrozumić, że powstanie organizacji społeczno-katolickiej nie będzie równoznaczne z „atakem reakcji na nową rzeczywistość”, lecz próbą pojednania z tymi elementami, które chcą pracować dla Polski — demokratycznej i katolickiej. Tak należy zrobić w imię polskiej racji stanu, wymaga to tylko wysiłków z obu stron. A że wtedy można liczyć na pomyślny rezultat, to jest niemal pewne.

Przykładem takiej rozsądnej polityki rządu lewicowego jest choćby taktyka rządu czeskiego, który pozwala na zakładanie partii o szerokiej rozpiętości programowej i pozwala im na czynny udział w życiu państwowym. A wyniki — szybka stabilizacja wewnętrzna i zacementowanie solidarności narodowej.

Uważam więc, że jedynym, radykalnym rozwiązaniem tej kwestii, będzie założenie organizacji postępowo-katolickiej.

Z poważaniem J. D.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO” Czytelnik, a współczesna poezja polska (Na marginesie artykułu Aleksandra Gosteckiego „Z problematyki literatury”)

Rodzajem twórczości literackiej, najbardziej obecnie uprawianym, jest niewątpliwie poezja. Świadczą o tym liczne wiersze, zamieszczane na łamach prasy literackiej i codziennej, wiersze, pisane niejednokrotnie przez debiutujących obecnie poetów.

Aleksander Gosteki w swym artykule wypowiadając kilka ciekawych i słuszych uwag, dotyczących tego chyba najszlachetniejszego gatunku literatury. W niniejszym liście pragnąłbym jego tezy rozwinąć i naświetlić od strony szarego czytelnika, od strony konsumenta dóbr kulturalnych.

Jest faktem stwierdzonym, że poetów mamy w Polsce w chwili obecnej bardzo dużo. Wiersze, przez nich pisane, mają poruszyć te struny intelektu szarego człowieka, które są zwykle przygłuszone rytmem życia codziennego. Dzieła poetów, jak słuszenie podkreśla Wojciech Bąk, mają wyrazić słowem to, co zwykły człowiek czuje, ale czego albo nie umie sformułować, albo nie ma czasu. Obok tego poeci mają za zadanie podnieść choć na chwilę człowieka na duchowe wyżyny, wzbudzić w nim poczucie, że jest czymś wyższym i czymś lepszym, aniżeli zwykłe kółko w mechanizmie świata. Otóż tego zadania współcześni poeci polscy w przeważającej większości nie spełniają. Ich wiersze są rzeczywiście, przede wszystkim pod względem formy, a nawet treści, przeznaczone dla garstki intelektualistów, mających czas, ochotę, a nawet poniekąd zdolności do odcyfrowywania zawilich zwrotów i metafor Przybosa, czy Jastruna.

Kim są bowiem ci czytelnicy, do których w myśl hasła upowszechniania kultury są skierowywane wiersze naszych poetów? Urzędnicy, pracujący cały dzień w biurze, nauczyciele szkół powszechnych i średnich, studenci, uczniowie gimnazjalni, chłopcy robotnicy, słowem tak zwana szara masa, chwytająca po niejednokrotnie ciężkiej i wyczerpującej pracy, za gazetę, czy książkę, by poczuć się choć przez chwilę naprawdę homo sapiens. Ludzie pracy nie mają poprostu ochoty na odszyfrowywanie zawilich rebusów poetyckich, tym bardziej, że, jak to znowu stwierdził Bąk, przyjemność uzyskana w ten sposób, jest typowo intelektualna, a nie poetycka, ciesząca nasz umysł, a nie ducha. I cóż się dzieje? Kolunmy wierszy w czasopiśmie są poprostu przez gros czytelników pomijane, a ich całkowita uwaga zwrócona prawie wyłącznie na prozę. Do tych pomijanych wierszy zaglądną jedynie historycy, czy znawcy literatury, a także snobi, pragnący popisać się przed znajomymi, że czytali Przybosa, Jastruna, Ważyka, czy Wirpszy.

Ne chcę przez to powiedzieć, że przeciętny czytelnik pragnie łatwiny w wierszach, co oczywiście w konsekwencji pociągłoby za sobą równanie w dół poziomu kultury. Niemniej uważam, że atrybutem dobrej poezji nie jest bynajmniej wyrażanie myśli i uczuć twórcy poprzez stosenianie zawikłanych i niejasnych przenośni i zwrotów, ale przeciwnie przez pełną artystycznego umiaru i wyrazu prostotę, która przede wszystkim cechuje dzieła wielkich twórców. To przekonanie jest udziałem większości ludzi pracy i dlatego chętniej czytają oni poezję trzech wieszczów, Kasprowicza, czy nawet Staffa, niż podobne raczej do zagmatwanych rebusów czy szarad, aniżeli do poezji elaboraty Przybosa.

Zbigniew Jan Pędziński
Poznań

W.lk.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17. tel 880 71 Konto P. K. O. — Nr I-727 Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzien. prócz poniedziałków i sobót godz. 12.30 — 13.30.

numerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia”, Widok 24. B-32130

Odbito w drukarni „Czytelnik” Nr 2, Marszałkowska 3/5.